MINIOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 7 (385)
16 lutego 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

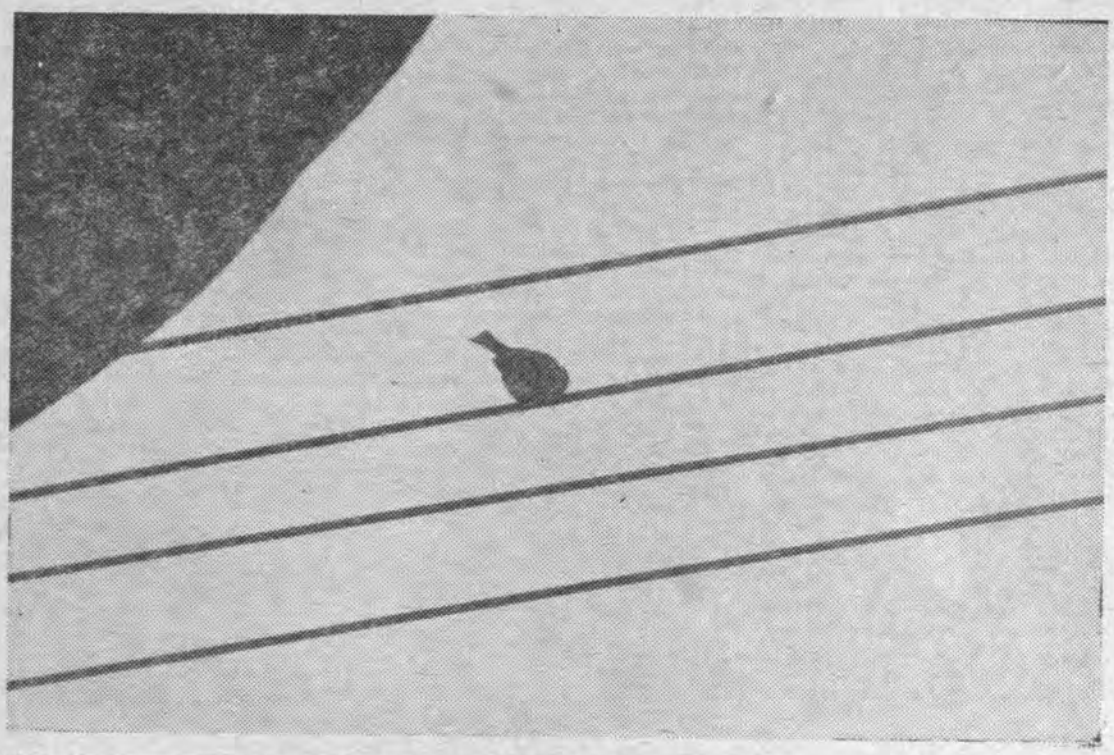

Fot. J. Mendychowski

IWAN DRACZ

*
* *

22 czerwca 1966 roku o godzinie piątej
wieczorem
Przejeżdżaliśmy nad Babim Jarem
Wieczorne słońce gasło w chmurze sennej
Jacyś mężczyźni w krzakach pili piwo
Obsysając wędzoną rybę
Opodal leżał Murzyn z głową opartą
O kolana dorodnej blondynki
Siwa baba chodziła i wypytywała
Czy nie mają krzyżyków na sprzedaż
Cherlawe klony mdlały od spiekoty
I syn mój zasnął na moich kolanach
Śnił mu się pewnie koń wśród bujnej trawy
Kopyta tłukły gdzieś o bitą ziemię
I łopatami ktoś sypał na mnie niebo
Twarde z korzeniami chmur
z kamieniem słońca
A metalowe kobry jarzeniówek
W gęstwinie kryły swoje długie szyje
I otuliłem instynktownie syna
22 czerwca 1966 roku o godzinie piątej
wieczorem
Kiedy jechaliśmy nad Białym Jarem

Przełożył: Jerzy Pleśniarowicz

Opublikowany wiersz pochodzi ze zbioru wierszy poety ukraińskiego młodego pokolenia pt. „Do źródeł". Tomik ukazał się ostatnio nakładem PIW-u. Wyboru wierszy do zbiorku dokonał Jerzy Pleśniarowicz i kilka z nich przełożył na język polski.

Szeroka współpraca zagraniczna ZLP

(Rozmowa z przewodniczącym Komisji Zagranicznej ZLP - A. Olchą)

W ostatnim okresie notuje się znaczne ożywienie współpracy kulturalnej między Związkiem Literatów Polskich a pokrewnymi stowarzyszeniami za granicą.

W latach 1966—68 wyjechało za granicę w ramach wymiany kulturalnej 438 polskich pisarzy; do krajów socjalistycznych — 252, a do innych — 134. Wielu pisarzy (27) korzystało ze stypendiów fundowanych, 25 odbyło rejsy polskimi statkami. Z reguły, rezultatem tych podróży były książki opublikowane przez nasze wydawnictwa bądź złożone do publikacji.

W ostatnich trzech latach Polskę odwiedziło 297 pisarzy, z tego 223 z krajów socjalistycznych.

Na temat współpracy zagranicznej ZLP przedstawiciel PAP rozmawia z przewodniczącym Komisji Zagranicznej ZLP — Antonim Olchą.

— Staraliśmy się ostatnio we współpracy ze związkami twórczymi innych krajów być stroną aktywną. Na skutek tego udało się nam znacznie poszerzyć międzynarodowe kontakty ZLP. Byliśmy też stroną inicjującą nowe formy współpracy międzynarodowej.

Nawiązaliśmy m. in. kontakty z Algierią, Zjednoczoną Republiką Arabską, Syrią, Libanem, krajami skandynawskimi. Znacznie rozszerzyliśmy współpracę ze związkami twórczymi krajów Ameryki Łacińskiej, zwłaszcza Meksykiem i Kubą; nawiązaliśmy także kontakty z pisarzami Brazylii i Chile. Rozszerzyliśmy kontakty literackie z DRW, z krajami i środowiskami pisarskimi Francji, NRD, NRF, Belgii, Holandii i Włoch.

Przedstawiciele ZLP uczestniczyli w wielu międzynarodowych konferencjach, z których jedna wydaje się szczególnie ważna — we wrześniu 1966 r. odbyła się w Baku międzynarodowa konferencja poświęcona problematyce krajów Azji i Afryki. Ze strony polskiej wygłoszono tam referat na temat udziału literatury w walce o prawa narodu wietnamskiego. Było też wiele konferencji, m. in. w Warszawie, Pradze, Sofii i Berlinie, na których w rezultacie dyskusji postanowiono przygotować wspólną antologię na 50-lecie Rewolucji Październikowej. Ukazała się ona we wszystkich krajach socjalistycznych.

We współpracy w obrębie obozu socjalistycznego bardzo istotne jest to, że dyskutujemy pewne problemy ogólne, ważne dla wszystkich krajów socjalistycznych. Ostatnio dotyczyły one wymiany literackiej ze światem zachodnim, a szczegółowo rzecz biorąc, były to problemy szeroko pojętej propagandy naszych literatur, problemy przekładów na języki świata, a także ścieranie się poglądów na literaturę i walki z dywersją ideologiczną w sferze kultury.

Nasz Związek przy każdej okazji kładł i kładzie nacisk na rzeczową, praktyczną stronę współdziałania z zaprzyjaźnionymi stowarzyszeniami twórczymi. Możemy sobie przypisać tę zasługę, że związki twórcze w krajach socjalistycznych zwróciły większą uwagę na propagandę literatur obcych w swoich krajach, na kształcenie tłumaczy, na powiązanie tłumaczy z polityką wydawniczą.

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Demograficzne perspektywy

Jak to z nami będzie?

W ROKU 1985 BĘDZIE NAS OKOŁO 39 MILIONÓW. Znaczy to, że w proporcji do ówczesnej liczebności krajów naszego kontynentu zachowamy nasze dzisiejsze miejsce, ale w porównaniu z Chińczykami będzie nas coraz mniej. Te przyszłe, umiarkowanie liczebne roczniki, w większym niż dziś stopniu rodzić się będą w wyniku zamysłu, postanowienia rodziców niż odruchowo, spontanicznie. Oznacza to pewne wyrównanie liczby dzieci przypadającej na jedną rodzinę.

W ciągu mniej więcej dziesięciu lat wyrównane zostaną ponoć dysproporcje liczebne między kobietami a mężczyznami, przynajmniej w tych rocznikach, gdzie różnica płci gra jeszcze jakąkolwiek rolę. Będzie to nie bez konsekwencji w sferze obyczajowej. Zmaleje podaż kobiet, wzrośnie na nie popyt i to musi dosyć intensywnie przyspieszyć proces obyczajowej emancypacji, czy — niektórzy mówią — wzrostu supremacji kobiet.

Mniej będzie w przyszłości młodzieży — więcej emerytów. Dobijanie obojga współmałżonków do osiemdziesiątki stanie się niebawem zwyczajne i wiele to zmieni w perspektywie życiowej ludzi. Rodzice będą oglądać swoje dzieci w wieku pięćdziesięciu i więcej lat. Mamy w perspektywie uczestniczenie w ślubach wnuków, pomaganie w odrabianiu lekcji prawnukom. W przyszłym społeczeństwie będą więc ze sobą współżyć ludzie bardzo różniących się od siebie pokoleń.

W roku 1985, 63—70 procent ludności Polski mieszkać będzie w miastach. Ale też straci na aktualności domniemanie, że jak ktoś mieszka na wsi — ma coś wspólnego z rolnictwem. Za piętnaście lat już tylko 55 procent ludności wsi żyć będzie z rolnictwa, reszta mieszkańców wsi uprawiać będzie zawody nie związane z produkcją żywności.

Przewidywane jest zaniknięcie kategorii chłopo-robotników. Granice między tym co jest wsią, a tym co jest miastem w pewnym stopniu będą się zacierać, wsie się zurbanizują, a przedmieścia rozciągną w przestrzeni, upodabniając się do zurbanizowanych wsi.

W tymże czasie, wedle najskromniejszych przewidywań 8 procent ludności mieć będzie wyższe wykształcenie, a 33 proc. średnie, na ogół zawodowe. Oznaczać to będzie potężny postęp wobec dzisiejszych wskaźników wykształcenia, ale bynajmniej nie wyróżni specjalnie Polski wśród innych krajów kontynentu europejskiego.

Łącznie istnieć więc będzie pokaźna liczebnie warstwa ludzi wykształconych, a nie pracujących zawodowo: kobiet i emerytów. Będzie to grono stanowić nienasyconą wręcz klientelę wszelkiego typu instytucji i środków upowszechniania kultury.

Bieg życia ludzi będzie nieco inny niż dziś. Dla przykładu struktura przemysłu i technologie wytwórcze zmieniać się będą szybciej niż obecnie, co będzie wymagało nie tylko dokształcenia, ale też ustawicznego zmieniania przez znaczne ilości ludzi rodzaju posiadanych kwalifikacji. Kto wie, czy nie stanie się zasadą, że człowiek holens-volens nie raz, ale dwa lub trzy razy w życiu stawać się będzie uczniem i w oderwaniu od pracy zasiadać na szkolnej ławie.

Gdy myślimy o przyszłości, wyobrażamy ją sobie zazwyczaj nadmiernie podobną do teraźniejszości, chociaż wyobraźnia zaludnia ją, chyba po nad miarę, różnymi technicznymi dziwami. Zupełnie nieświadomie wyobrażamy sobie, że społeczeństwo jest takie jak dziś — tak zbudowane i rozmieszczone w przestrzeni, a tylko jest więcej domów, aut telewizorów, no i więcej techniki w życiu codziennym.

Otóż dla dyskutowania o przyszłości istotne jest wyobrażenie sobie Polski za 15 lat jako siedziby innego niż dzisiejsze społeczeństwa. Zniechęcam więc do wyobrażenia sobie naszego społeczeństwa, tylko czyszczącego zęby elektryczną szczoteczką. To jest kierunek wyobrażeń wystarczający do kręcenia filmów futurologicznych, ale nie do racjonalnych przewidywań.

J. REM

Zjazd ZLP w Bydgoszczy.
W kuluarach od lewej — J. Krzysztoń, S. Grochowiak i S. Horak.

Szeroka współpraca zagraniczna ZLP

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Podjęliśmy też starania o zabezpieczenie praw polskich twórców w obrębie obozu socjalistycznego, działając szerokim frontem z ZAIKS-em, Agencją Autorską, środowiskami uniwersyteckimi, które mają rozbudowane kontakty z tłumaczami literatury polskiej w całym świecie. Zajęliśmy się także kwestią systematycznego kształcenia młodych tłumaczy z języka czeskiego, słowackiego, węgierskiego, bułgarskiego, rumuńskiego, serbskiego, chorwackiego.

Na skutek starań resortu kultury i Ministerstwa Spraw Zagranicznych doszło do ustanowienia stałych stypendiów dla pisarzy polskich przez rząd francuski, włoski i rządy krajów skandynawskich. Zainicjowaliśmy także spotkania obcych pisarzy z czytelnikami na terenie Polski. To samo zaproponowaliśmy naszym zagranicznym partnerom.

Mówiąc o żywej wymianie zagranicznej musimy pamiętać, że również oddziały terenowe ZLP prowadzą współpracę zagraniczną, np. oddział w Katowicach z CSRS, w Zielonej Górze z NRD, w Szczecinie z pisarzami duńskimi, we Wrocławiu z pisarzami Syberii, w Rzeszowie — z pisarzami ukraińskimi.

Chciałbym tu specjalnie podkreślić, że współpraca międzynarodowa ZLP byłaby niemożliwa bez pomocy i udziału Ministerstwa Kultury i Sztuki — Biura Współpracy z Zagranicą, jak też Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wielu, wielu instytucji państwowych, które przychodzą nam z pomocą nawet w najdrobniejszych trudnościach.

W konkluzji należy stwierdzić, że w kontaktach międzynarodowych ZLP staramy się podejmować problemy ideowo-artystyczne dbając równocześnie o to, aby wyjazdy zagraniczne naszych pisarzy miały charakter twórczy. Trzeba powiedzieć, że w ostatnich latach ruch osobowy — wymiana pisarzy między stowarzyszeniami twórczymi poszczególnych krajów — był znaczny. Zdradza on tendencje zwyżkowe. Ta wymiana przysparza korzyści nie tylko polskiej literaturze, ale także całej kulturze polskiej. Z reguły każdy pisarz, który znajdzie się za granicą, zapraszany jest na rozmaite zebrania dyskusyjne, proszony o wygłoszenie odczytu. Wielu pisarzy występuje przed kamerami telewizyjnymi. W toku tych kontaktów przekazywana jest spora doza wiedzy o naszym życiu kulturalnym, o związkach naszej literatury z powszechnym życiem kulturalnym kraju. Wyjaśniane są przy tej okazji liczne nieporozumienia dotyczące naszej polityki kulturalnej, bądź prostowane fałszywe opinie o naszym kraju, które niekiedy złośliwie i celowo są kolportowane.

Muszę powiedzieć, że polski pisarz przebywający za granicą jest dobrym ambasadorem polskiej kultury.

Eksport polskich filmów

Jak się dowiaduje sprawozdawca PAP, Przedsiębiorstwo „Film Polski" wyeksportowało w roku ubiegłym 101 filmów fabularnych do 29 krajów, zawierając łącznie 186 transakcji.

Największym powodzeniem u naszych zagranicznych odbiorców cieszył się „Żywot Mateusza", zakupiony przez 9 krajów. Do 6 sprzedano „Wilcze echa", „Barierę", „Westerplatte", do 5 „Walkower", „Niewinnych czarodziejów" oraz „Popiół i diament", do 4 — „Rysopis", a do 3 — „Hrabinę Cosel", „Lalkę", „Boksera", „Jowitę", „Bumerang", „Marysię i Napoleona", „Nóż w wodzie", „Tabliczkę marzenia", „Paryż — Warszawa bez wizy", „Dancing w kwaterze Hitlera" i „Weekend z dziewczyną".

Filmy krótkometrażowe wyeksportowaliśmy do 30 krajów, zawierając 842 transakcje, z tego 575 z ośrodkami telewizyjnymi. Naszymi „przebojami eksportowymi" w krótkim metrażu były: „Robocik" — sprzedany do 10 krajów, „Zazdrosny trzmiel" (do 6) oraz „Worek" (do 5). Z telewizyjnej serii „Klasyki światowej" najwięcej nabywców miały: „Zmartwychwstanie Offlanda" i „Przeraźliwe łoże" (oba zakupione przez 6 krajów), „Pavoncello" (5) oraz „Kwestia sumienia" i „Komedia pomyłek" (oba przez 4 kraje).

Jedną z form uzyskiwania dewiz przez „Film Polski" są usługi świadczone przez nasze wytwórnie zagranicznym producentom. W zeszłym roku na liście kontrahentów w tej dziedzinie znalazły się następujące kraje socjalistyczne (w kolejności odpowiadającej wartości dokonanych transakcji): NRD, Bułgaria, Jugosławia, CSRS i Rumunia, a z innych: Francja, Gwinea, NRF, Włochy, Szwajcaria, Austria, USA, Brazylia, Anglia, Szwecja i Norwegia.

(Kt — PAP)

ZDK Huty „Stalowa Wola" i srebrny jubileusz PRL

Poważny udział w programie obchodów srebrnego jubileuszu Polski Ludowej zapowiadają, działające na terenie województwa rzeszowskiego, w większych skupiskach robotniczych, zakładowe domy kultury. Przyjrzyjmy się więc ich zamierzeniom, planom i propozycjom. Co przygotowują? Z czym wystąpią? Jaki jest ich plan działania i zamierzeń?

Aby znaleźć odpowiedzi na powyższe pytania, na wstępie odwiedzimy Zakładowy Dom Kultury Huty „Stalowa Wola". Jak się okazuje stalowowolska placówka opracowała szczegółowy plan pracy na rok bieżący, rok 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przygotowano go pod kątem udziału w ogólnopolskim współzawodnictwie placówek k. o. pod hasłem „Każdego dnia służymy Ojczyźnie ludowej". Stalowowolski ZDK już niejednokrotnie w podobnych imprezach, będących konfrontacją z pracą innych, sięgał po najwyższe trofea. Z jakimi szansami przystępuje więc do współzawodnictwa w bieżącym roku?

— Naczelnym naszym zadaniem — mówi J. Biliński — kierownik ZDK — jest praca wychowawcza nad podniesieniem poziomu kulturalnego i ideowego pracowników Huty i ich rodzin. Zgodnie z uchwałami V Zjazdu PZPR i VI Kongresem Związków Zawodowych działalność nasza kształtować się będzie głównie wokół obchodzonych w tym roku rocznic: 50 rocznicy odzyskania niepodległości, 25 rocznicy utworzenia PRL, 50 rocznicy powstania Komunistycznej Partii Polski, 25 rocznicy ogłoszenia Deklaracji Programowej PPR oraz 30 rocznicy tragicznego Września.

Tym tematom podporządkowane są plany działalności wszystkich działów, zespołów i kółek zainteresowań ZDK Huty „Stalowa Wola", począwszy od zespołu dziecięcego, a skończywszy na Klubie Seniora.

Co u najmłodszych?

Poprzez organizowanie imprez i stałą pracę dziecięcych i młodzieżowych zespołów oraz kółek zainteresowań, kierownictwo ZDK chce jeszcze mocniej „związać" młodzież z placówką, przyzwyczaić ją do kulturalnego spędzania wolnego czasu, nauczyć właściwego korzystania z filmu, imprezy artystycznej, spotkania, odczytu, wycieczki czy zabawy. Pragnie pomóc młodzieży w kształtowaniu jej osobowości, poglądów, przekonań i zainteresowań. Chce wreszcie ukazać dzieciom i młodzieży osiągnięcia Polski Ludowej i perspektywy jej dalszego rozwoju, zbliżyć młodzież do trudnej, codziennej pracy jej rodziców.

Tym właśnie celom podporządkowany jest plan pracy działu Dziecięco - Młodzieżowego stalowowolskiego ZDK, który w realizacji tych zamierzeń opierać się będzie — i słusznie — na współpracy z rodzicami, szkołami, organizacjami młodzieżowymi, zostawiając jednocześnie szeroki margines dla działalności samorządów dziecięcych i młodzieżowych zespołów, co w efekcie powinno się przyczynić do aktywizacji grup młodzieżowych.

Szczytowym okresem pracy z dziećmi i młodzieżą będzie niewątpliwie masowa impreza zwana „Karnawałem Młodości", organizowana w pierwszym etapie pod hasłem „Witamy wiosnę pracą i zabawą", a w drugim pod hasłem „Wszystko co nasze Polsce oddamy". Program przewiduje bogaty autorament imprez o charakterze artystyczno-rozrywkowym, a więc występy zespołów tanecznych, muzycznych i recytatorskich, a także wycieczki, biwaki, ogniska, połączone z gawędami i turniejami wiedzy.

Dużą popularność zdobyły sobie imprezy organizowane dla młodzieży przez ZDK Huty „Stalowa Wola" w każdą niedzielę, w godzinach przedpołudniowych. Zabawy, gry towarzyskie, słuchanie przebojów młodzieżowych, przeplata się tu z dyskusją nad sprawami nurtującymi młodzież. Te imprezy również będą w br. kontynuowane. A starsi?

Tu zamierzenia są o wiele szersze i bardziej urozmaicone. Poważne zadanie przypada dla działu upowszechnienia wiedzy. A więc przede wszystkim cykle interesujących odczytów, spotkań i pogadanek. Dominować będzie oczywiście przytoczona na wstępie tematyka. Ogółem zaplanowano zorganizowanie w br. ponad 150 odczytów i spotkań z pisarzami i naukowcami, z czego dwukrotnie w każdym miesiącu prelegenci trafią do hotelu robotniczego pracowników huty, a w czterdziestu przypadkach odczyt lub spotkanie z interesującym człowiekiem zorganizowane zostanie bezpośrednio w wydziale produkcyjnym Huty „Stalowa Wola". Zaproszeni do Stalowej Woli prelegenci wyjadą też do miejscowości, w których mieszkają pracownicy stalowowolskiego kombinatu, a więc zasięgiem swego działania objęty również zostanie teren okolicznych wsi.

Bardziej konkretne i sprecyzowane plany działalności ustalono dla działających przy ZDK kół zainteresowań. M. in. koło miłośników teatru poza dyskusją nad oglądanymi sztukami, spotkaniami z aktorami, reżyserami i autorami oraz wyjazdami do teatrów Warszawy czy Krakowa, poszerzą zakres swej działalności o Teatr Telewizji, a członkowie Dyskusyjnego Klubu Filmowego skoncentrują swe zainteresowania na dorobku kinematografii PRL. Kino „Wiedza" natomiast akcję odczytową uzupełni projekcjami filmów popularnonaukowych i dokumentalnych.

Przy organizacji wystaw kierownictwo ZDK zamierza w br. bazować na ekspozycjach wypożyczonych z Muzeum Lenina, Muzeum Historii Ruchu Robotniczego oraz muzeów regionalnych i na współpracy z Rzeszowskim Biurem Wystaw Artystycznych.

Wspomnieć też należy o zamierzeniach zakładowej biblioteki, która zakłada stosowanie różnorodnych form pracy z czytelnikami, celem zwiększenia ich kręgu. Przewiduje się organizację konkursów i wystaw książkowych, co wchodzi zresztą w zakres konkursu czytelniczego „Bliżej książki współczesnej".

W zakresie pracy artystycznej

Zasadniczym elementem w pracy ruchu amatorskiego jest sztuka — toteż najistotniejszą sprawą jest tutaj dobór wartościowego pod względem ideowym i patriotycznym, artystycznego w formie repertuaru. Z powyższego wynika zadanie drugie — oddziaływanie poprzez ruch amatorski na mieszkańców miasta i okolicy drogą upowszechnienia wartościowych pozycji opracowanego repertuaru, w ramach akcji imprezowo-artystycznej. Zakres planowanej pracy wytyczają imprezy organizowane w skali krajowej, takie jak wspomniane już współzawodnictwo „Każdego dnia służymy ludowej Ojczyźnie", Święto Pieśni i Tańca oraz festiwale: teatrów poezji, piosenki radzieckiej, chórów („Złota Lira"), muzyki młodzieżowej i konkurs „Bliżej teatru".

„Lasowiacy" przygotowują nowy program „Budujemy nowy dom", z którym zamierzają wystąpić w lipcu. Członkowie zespołu teatralnego poza „Karpackimi Góralami" i „Zemstą" wystawią jedną ze sztuk współczesnych, ukazującą przemiany społeczno-polityczne pierwszych lat Polski Ludowej. Nowy, okolicznościowy program opracuje również zespół estradowy i chór.

Szczególną aktywność zespołów artystycznych ZDK Huty „Stalowa Wola" powodują również przypadające w br. wewnętrzne jubileusze. Chór obchodzi w tym roku XXX-lecie działalności, zespół teatralny XXV-lecie, a balet XV-lecie.

Generalną zasadą, która dominować będzie w br. w pracy kierownictwa i poszczególnych zespołów stalowowolskiego Domu Kultury, jest zacieśnienie jeszcze mocniejszej niż dotychczas więzi ZDK z załogą Huty. W tym celu w dalszym ciągu organizować się będzie imprezy (cieszące się dużą popularnością — przyp. J. W.) dla pracowników dojeżdżających do pracy, a zespoły: teatralny, estradowy oraz pieśni i tańca częściej niż dotychczas wyjadą na wieś, do tych miejscowości, w których mieszkają pracownicy Huty „Stalowa Wola", by swymi występami uświetnić srebrny jubileusz naszej ludowej Ojczyzny.

Stalowowolscy artyści - amatorzy zamierzają też wyruszyć poza teren swego codziennego działania. „Lasowiacy" planują tournee po ziemi śląskiej, aby tam popularyzować nasz piękny region. Wystąpią też z koncertami w Bieszczadach, w miejscowościach pozbawionych kulturalnej rozrywki. Zespół estradowy wystąpi natomiast przed wczasowiczami w Ulanowie, Myczkowcach i Solinie. Ogółem w br. zaplanowano 136 przedstawień i koncertów własnych zespołów.

Zamierzenia śmiałe i interesujące. Oby tylko w pełni zostały zrealizowane. Tego serdecznie życzymy kierownictwu i wszystkim zespołom ZDK Huty „Stalowa Wola" i tym wszystkim, którzy w roku 25-lecia Polski Ludowej przybywać będą do stalowowolskiej placówki bądź oklaskiwać będą stalowowolskich artystów-amatorów.

JULIAN WOŹNIAK

Tańczą „Lasowiacy"

Krystyna Świerczewska

HAMLET

W „Hamlecie", który przed z górą dziesiątkiem lat wystawił Roman Zawistowski finałowa klęska Hamleta była w rzeczywistości zwycięstwem. Wynikała z jasnej, zwartej, drapieżnej koncepcji spektaklu, pomyślanego jako tragiczny epos zmagań następcy tronu z fałszem dworskiej intrygi w jego drodze do korony.

Inaczej się dzieje w finale „Hamleta" rzeszowskiego, który reżyserował Stanisław Bieliński. Jeżeli nawet efekt mogłabym dostrzec podobny, bo i tu nie jest bynajmniej tragedią pesymistyczną, to jednak nie wynika on już z podobnej koncepcji reżyserskiej, ponieważ Bieliński spektakl poprowadził w zupełnie innym kierunku, ale z założeń aktorskich, jakie zaproponował nam Bogdan Kiziukiewicz. Bieliński zrobił spektakl zimny, nieco estetyzujący, oscylujący zupełnie wyraźnie w stronę ilustracji, a więc ogromnie czytelny w warstwie fabularnej. Tak bardzo czytelny i tak tej idei podporządkowany, że przytłoczyła ona szekspirowską wielowarstwowość dramatu, uprościła filozofię wielkiego Stratfordczyka i odebrała tym samym duńskiemu więzieniu jego zagęszczoną atmosferę zbrodni, namiętności, pożądań. Czy można i tak grywać „Hamleta"? Pewnie można, skoro został zagrany. I choć nie jest mi ani bliskie takie widzenie losu duńskiego królewicza, ani zgadza się ono z moim własnym stosunkiem do sztuki — nic bardziej niepoważnego uczynić bym nie mogła, jak próbować podciągać koncepcje Bielińskiego do moich własnych. Przeto mówiąc o „Hamlecie" rzeszowskim i skoro się już nazwało zamysł reżyserski w miarę precyzyjnie, już sam ten fakt ogranicza nas do mówienia tylko o „Hamlecie" Bielińskiego, nie zaś o naszych indywidualnych „widzeniach" sztuki.

Piękny przekład Jerzego Sito, bliski nam w warstwie językowej, właśnie drapieżny i nie trzeba chyba dodawać — współczesny, sam w sobie rodzi tęsknoty za teatrem intelektualnym, który by rozegrał partie rozumowe z ostrością i głębią. A tych nie dostrzegłam.

Ktoś kiedyś mądrze powiedział, że do „Hamleta" nie wystarcza warsztat teatralny. Bieliński to zapewne słyszał, to też wcale tym warsztatem nas nie epatuje. Interesuje go, jak kiedyś w brechtowskim „Arturo Ui", byśmy wyszli dokładnie zorientowani, kto czego nienawidził i za co, nie pozostawia cienia wątpliwości w charakterach, rysuje je niemal jedną kreską. I jest w tym odważny ponad moje rozumienie „Hamleta", ponad moją nieufność do jednoznaczności w sztukach Szekspira. Wychodzimy więc z tego „Hamleta" pewni przynajmniej jednego, że zaproponowano nam widowisko bardzo w końcu kameralne, ale stawiające właśnie na tę zewnętrzną urodę sztuki, na urodę sprawdzoną już historią inscenizacji teatralnych. Później możemy już ewentualnie liczyć na własne sny o „Hamlecie", ale to już nie ma nic do rzeczy z „Hamletem" rzeszowskim. Druga pewność, jaką rodzi spektakl obejrzany — to celowość skrótów poczynionych w imię tej czytelności. Widzę w tym konsekwencję. I również konsekwentne byłoby owo tempo wartkie, w trzecim akcie nawet potoczystość pewna działania się scenicznego.

Aniela Świderska — Królowa, Bogdan Kiziukiewicz — Hamlet.

Tyle o jednym „Hamlecie" — „Hamlecie" Bielińskiego. Bowiem w historię tego spektaklu wkrada się drugi „Hamlet" — Bogdana Kiziukiewicza. Inny. Rodem nie z reinchardtowskich wizji sceny, ale rodem z naszych rodzimych Konradów, Kordianów, Szczęsnych Potockich. Hamlet słowiański, romantyczny, z duszą rozdartą zwątpieniem, gdy przyjdzie mu rozstrzygać spory moralne. Odstający od spektaklu; dla mnie interesujący ponad spektakl.

Ten Hamlet to bardzo ważny etap w losach aktorskich Kiziukiewicza. Żadnego komplementu tu nie powiem, bo wszyscy widzieli tę prawdę, kiedy przypomnę, że u początków tej drogi leżała kamieniem niewiary mojej w jego możliwości tak bardzo smutnie zrobiona postać molierowskiego Don Juana, może nawet bliższa mu wiekiem i predyspozycjami fizycznymi — a dziś Kiziukiewicz potrafił zrzucić z siebie manierę, tandetne giery, gościdła, emfazę, założyć sobie z dyscypliną, kolosalną zapewne, cugle powściągliwości i przestał grać trzewiami, pomny na istnienie przydatnej każdemu głosowi przepony.

Ale to są zaledwie środki aktorskie. W „Hamlecie" bardzo ważne, nie stanowią jednak o sile postaci, o jej nośności intelektualnej. Kiziukiewicz zresztą pracował nie tylko nad nimi. Kiedy się zjawia na scenie odnoszę wrażenie, że zjawia się z gotową partyturą całego przedstawienia; że wierząc w wielkość swojej roli — widzi ją w kontekście z innymi, choć nie jest w stanie tych innych nagiąć w swoją stronę. Toteż gra samotnie. Nie ma partnerów. Albo inaczej — oni są przeciw niemu.

Myślę, że tu właśnie można mówić o owych dwóch „Hamletach". Kiziukiewicz jest Hamletem romantycznym. Rządzi nim obsesja niepokojów moralnych, moralnej czystości, prawdy, rozumu przydatnego „sprawie"; Kiziukiewicz rozprawia się z bezdusznością, intryganctwem, fałszem, miłością niezdolną do wyrzeczeń, tą miłością, która nie sprostała wielkości tak serca, jak i rozumu. Buduje to wszystko z żaru, refleksji, ironii.

Pewnie, że są w nim wahania; nawet i to jedno komiczne, kiedy alternatywę „być albo nie być" przysłania mu tradycja Holoubków, Hanuszkiewiczów, teoretyków literatury wreszcie i monolog jego jest nieefektowny oraz co gorsza nie czuje się, by był wynikiem filozoficznych przemyśleń; ale obok przecież jawi się Kiziuwicz autentycznie znakomity, kiedy na pełnym krzyku robi słynne strofy: „Niech ryczy z bólu ranny łoś"... Toteż Kiziukiewicza pozwoliłam sobie pomieścić bardzo wysoko w tym spektaklu i zaakceptowałam bez reszty, która w tym wypadku przełamuje milczenie.

A w ogóle jest w tym spektaklu niemało ról pracowitych. Wyznaję, że z żalem muszę być przeciw partnerowi Kiziukiewicza — Zdzisławowi Kozieniowi — Klaudiuszowi. I już nawet nie tyle stoję o koncepcję jego Króla, zgodną w końcu z tą opowieścią historyczną o losach Hamleta, ile o brzydotę słowa mówionego, która wbrew powszechnej sympatii, jaką darzy się tego aktora, nami wstrząsa tym razem. Nie wiem, co kryło się w tle tego nieudanego występu Kozienia — wiem, że rozczarował mnie ogromnie.

Równe rozczarowanie przeżyłam, oglądając Poloniusza zaproponowanego nam przez Tadeusza Czarnowskiego. To duże nieporozumienie zawdzięczamy w końcu aktorowi zdolnemu, co jest tym bardziej przykre; błazen Poloniusz jest jeszcze dworakiem-intrygantem i tym rodzajem przysłowiowego homo sapiens, którego myślenie jest zdolne czasem obalić królów, rewolucję, postęp. Poloniusz Czarnowskiego był kukłą, zaledwie zabawną, ale też niewiele rozumiejącą świat, który go otacza.

Dwie panie, z których na pierwszym miejscu godzi się wymienić gościa zaproszonego — Anielę Świderską, grającą Królowę oraz Ofelia Teresy Ujazdowskiej, przejęły się nieważnością spraw kobiecych w męskim świecie do przesady. Królowę widziałam nieco zgaszoną aktorsko, choć dysponującą i urokami pociągającej kobiecości i nienaganną dykcją. Ofelia zaś, gdyby jej zaoszczędzić nieładnej, nieszekspirowskiej z ducha sceny erotycznej z Hamletem, która nie wiadomo po co wdarła się niczym kropka nad „i" w ich skomplikowany stosunek — właściwie podobała mi się. Była pastelowa, delikatna, świeża, scenę z szaleństwem grająca bardziej sercem niż tradycją teatralna.

I Leartes wreszcie — Józef Onyszkiewicz, do którego przypasował Wyspiański świetne sformułowanie, że udaje ból, a w gruncie rzeczy jest pustym, nieodrodnym „synkiem Poloniusza" — ból rzeczywiście udawał i wyrastał trochę niepotrzebnie na szlachetną postać, jaką nigdy nie bywał.

W roku Wyspiańskiego z rozkoszą zanurzamy się w jego twórczość. Szukamy w niej bliskich nam sensów i odkrywamy czasem jej posępną aktualność. W miejsce zakończenia chciałabym zaproponować aktorom, by wzięli do ręki wyspiańskie dywagacje nad „Hamletem" i przeczytawszy je ponownie, podzielili się z nami publicznie tą lekturą. To byłaby ta mądra, uzupełniająca, filozoficzna kropka nad „i", z której płynęłaby satysfakcja, że pewien „bardzo polski dramaturg Szekspirem zwany" odrodził się na nowo poprzez głęboką krytykę innego bardzo polskiego dramaturga, przeżywającego „Hamleta" u stóp Wawelu, w pierwszych latach naszego skomplikowanego stulecia. Piękną scenografię Jana Kosińskiego, która z Danii czyniła więzienie — może by wtedy zastąpiła perła polskiego renesansu — baranowski zamek? Zaręczam słowem honoru, że wcale on się nie gorzej prezentuje od autentycznego Kronborga w Helsingor, który z majestatycznym „Batorym" opływałam i był wtedy w wichrach, sztormach, oblany Bałtykiem, zawsze kapryśnym w Cieśninie Sund...

Teatr im. W. Siemaszkowej: William Szekspir — „Hamlet". Przekład: Jerzy S. Sito. Reżyseria: Stanisław Bieliński. Scenografia: Jan Kosiński. Kostiumy: Barbara Jankowska. Muzyka: Janusz Ambros. Asyst. reżys.: Tadeusz Mroczek. Osoby: Z. Kozień, B. Kiziukiewicz, T. Czarnowski, J. Onyszkiewicz, W. Mierzyński, J. Jachowicz, W. Zawirski, A. Kossowski, H. Gońda, A. Raczkowski, T. Krasnodębski, T. Mroczek, A. Fornal, J. Adamski, J. Kulicki, F. Buratowski, L. Bieńkowski, A. Świderska, T. Ujazdowska. Premiera 20 stycznia 1969 r.

5 polskich utworów w programie 43 Festiwalu SIMC

Obradujące w Hamburgu jury 43 Światowego Festiwalu Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej SIMC wybrało do programu tegorocznego festiwalu 4 utwory polskich kompozytorów. Są to „4 nowele" Tadeusza Bairda, „Musiquette 2" Henryka M. Góreckiego, „Septem tubae" Bernadetty Matuszczak oraz „Mutazioni" Witolda Szalonka. Ponadto włączono do programu imprezy kompozycję zasiadającego w jury Kazimierza Serockiego — „Continuum", która miała być wykonana w czasie festiwalu SIMC w Warszawie w ub. roku. Podczas najbliższego festiwalu, odbędzie się również w Hamburgu prapremiera opery Krzysztofa Pendereckiego „Diabły z Loudin".

„Verena Combo" na ziemi rzeszowskiej

Na zdjęciu: Piosenkarz Radia i TV NRD Erhard Juza.

Na zaproszenie rzeszowskiej „Estrady" przez kilka dni gościliśmy na ziemi rzeszowskiej zespół artystów radia i telewizji NRD „Verena Combo". Niemieccy artyści estradowi wystąpili w Krośnie, Przemyślu, Sanoku, Mielcu, Stalowej Woli i Sarzynie. Zaprezentowali program rewiowy, w którym obok elementów sztuki estradowej, jak piosenka czy utwor muzyczny, znalazły się też elementy sztuki typowo cyrkowej, jak żonglerka i ekwilibrystyka oraz iluzja. I właśnie — śmiem twierdzić — poprzez połączenie tych dwóch gatunków program zyskał na atrakcyjności. Miłe piosenki przeplatane efektami wizualnymi w myśl popularnej zasady „wszystkiego po trochu" stworzyły ciekawe widowisko, które przyjęte było z dużym zainteresowaniem publiczności.

Podobały się piosenki w wykonaniu Karin Brandt, Erharda Juzy i Bernda Heinricha. Podobał się zespół żonglerów „Die Montis". Powszechne zainteresowanie — jak ta kula sama się unosi? — wzbudził bardzo dobry iluzjonista niemiecki, Hardy. Gromkie brawa zbierali na każdym koncercie ekwilibryści Felske — Rogger.

(j. w.)

Pisarka Anne Hurê oskarżona o włóczęgostwo

Powieściopisarka francuska Anne Hure, laureatka jednej z nagród literackich w 1962 r. została ostatnio zatrzymana przez policję Nicei pod zarzutem włóczęgostwa. Wałęsała się nad ranem bez celu, bez żadnego miejsca zamieszkania i nie miała przy sobie ani grosza. Parę dni wcześniej pisarka usiłowała popełnić samobójstwo, zażywając w jednym z hoteli Cannes blisko 40 proszków nasennych. Po odzyskaniu przytomności została bez ceregieli wypisana ze szpitala, dokąd ją przetransportowano, z tym jednak, że lekarz dyżurny dał jej w charakterze wiatyku 14 franków, „równowartość jednego posiłku w restauracji" — jak sama oświadczyła przed sądem.

Na rozprawie, na którą stawiła się w brudnej i oberwanej sukni, powiedziała: „Nie mam z czego żyć. Od chwili ukazania się mej ostatniej powieści „Winobrania", wydawca nie zapłacił mi ani grosza... Eksploatuje mnie, ale mi nie płaci".

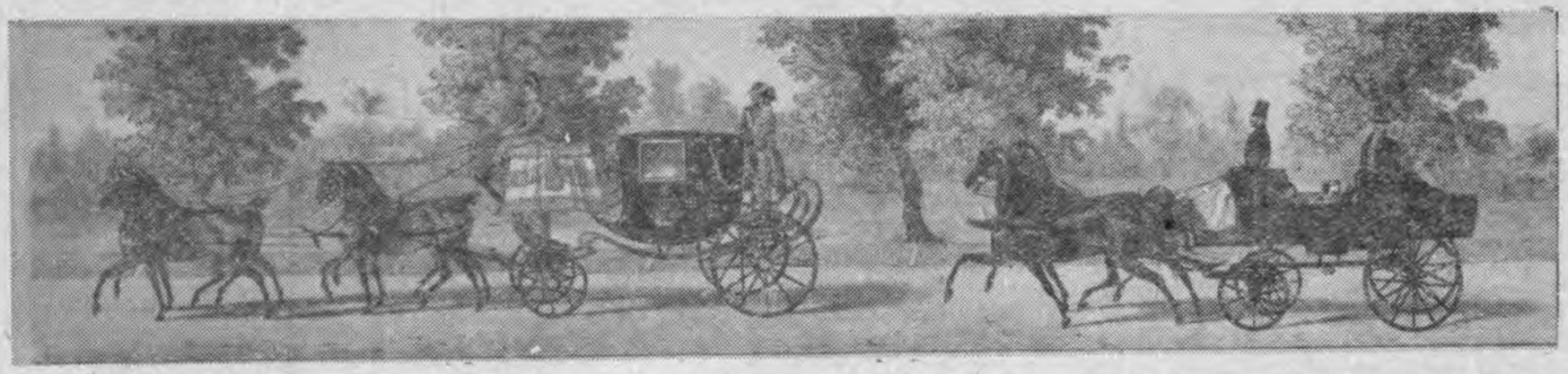

Grafika ze zbiorów Powozowni w Łańcucie.

Teresa Żurawska

Do Paryża dormezą
czyli o Powozowni Łańcuckiej

Ziemia rzeszowska może poszczycić się posiadaniem jedynego w Polsce Muzeum Powozów, które powstało w sierpniu 1944 roku, jako pierwsze Muzeum Państwowe w wyzwolonej części Polski Ludowej.

W tym roku obchodzić będziemy 25-lecie istnienia tej placówki, która podobnie jak cała rezydencja magnacka po Potockich została zamieniona na muzeum i służy od 25 lat społeczeństwu.

Pierwszymi zwiedzającymi muzeum były grupy żołnierzy polskich i radzieckich, a pierwszymi przewodnikami byli pracownicy Zamku i Powozowni. Gdyby Potocki nie wywiózł najcenniejszych dzieł sztuki za granicę, to dzisiaj zamek byłby jedyną chyba w świecie pełną rezydencją magnacką. Byłby to autentyczny dokument gustu i życia magnackiej rodziny. Ten wielki dydaktyczny walor posiada właśnie Powozownia Zamkowa. Tu nic się nie zmieniło od czasów Alfreda Potockiego. Pamiętamy dwa duże budynki położone po południowej stronie parku łańcuckiego, przedzielone od niego szosą. Pierwszy — to pałac dla koni, stajnie cugowe, drugi ukryty dokładnie za nim — to Powozownia. Oba zostały ukończone w 1902 roku przez architekta francuskiego A. Bauque. Stajnie uległy po wojnie częściowemu zniszczeniu, a przechowywane w Wielkiej Szorowni paradne uprzęże ze srebrnymi okuciami, siodła, saneczki złocone Marii Antoniny i wiele innych cennych pamiątek podzieliły los wywiezionych z zamku dzieł sztuki. W Powozowni natomiast zostały na swoich miejscach cenne pojazdy, czapraki i trąbki. Przestrzenna hala zaprzęgowa, wyłożona drewnianą kostką, odpowiednią pod kopyta koni, ozdobiona jest do dzisiaj trofeami myśliwskimi i fotografiami z wielkich safari w dalekiej Afryce. Przypominają one dziś o kosztownych wyprawach Alfreda Potockiego do Sudanu, o zaciągniętej na ten cel pożyczce w latach kryzysu gospodarczego i strajków rolnych. O luksusie zakupów, wystawności życia zamkowego i zajęciach magnackiej rodziny świadczą eleganckie pojazdy z najdroższych firm europejskich z Wiednia, Paryża, Londynu, Berlina. Polskiej produkcji jest zaledwie jedna bryczka kielecka i sanie. Znamienny to fakt mówiący o kosmopolitycznych skłonnościach właścicieli. Karety paradne, powozy odkryte, landolety, breki, karety coupe, bryczki, gigi, omnibusy i karety sypialne stoją dzisiaj jedne obok drugich, co nie ułatwia ich oglądania. A szkoda, bo znajdują się tu unikalne i najstarsze egzemplarze w Polsce, żeby wymienić tylko koczyk Marszałkowej Lubomirskiej z pierwszych lat XX wieku, brek towarzyski z okresu Kongresu Wiedeńskiego, dwie karety paradne, z których jedna na pewno służyła do ślubu. Przewodnicy opowiadają urokliwe historie o dawnych podróżach właścicieli Łańcuta do Paryża specjalną karetą dormezą, o balach i piknikach, polowaniach, spacerach samotnych i towarzyskich. Opowieści tych chętnie słuchają zarówno dorośli jak i dzieci, zarówno polscy turyści, jak i zza granicy. Historyczna legenda, często o posmaku sensacji, skandalu lub zgoła wielkich wydarzeń historycznych jest łatwo przyswajalną lekcją z życia epoki. Wprowadza nastrój i pozostawia wrażenie. Nie brońmy się przed nim. Właśnie myślę o celach dydaktycznych i wrażeniowych, Dział Pojazdów Konnych, jako ośrodek nowo rodzącej się dyscypliny, ośrodek prowadzący badania naukowe, zorganizował i udostępnił turystom cały historyczny zaprzęg z prawdziwą karetą pochodzącą ze Śląska, z piękną uprzężą, końmi specjalnie dobieranymi dla celów i stangretem ubranym w strój historyczny, obowiązujący w całej Europie w okresie przełomu XIX na XX wiek. Można więc nie tylko zobaczyć prawdziwy zaprzęg historyczny, ale i spróbować jak to jeździło się kiedyś na bale, rauty, do teatru. Łańcucianki stanowczo twierdzą, że dla sukni zdrowiej i efektowniej jest jechać karetą niż samochodem. Toteż używają karety do... ślubu.

Ze względu na ogromny ruch turystyczny (3 miliony osób zwiedziło Powozownię Zamkową w ciągu 25 lat). Dyrekcja Muzeum, zmuszona jest dostosować ekspozycję do wzrastającej z każdym rokiem frekwencji liczącej w ostatnich latach po ćwierć miliona turystów. Dlatego to ukończony w ubiegłym roku projekt nowej ekspozycji przewiduje wyjście powozów na dotychczas pustą halę zaprzęgową i ustawienie pojazdów w grupach dobranych pod względem ich dawnych funkcji użytkowych. Polepszy to niewątpliwie możliwość obejrzenia pojazdu z każdej strony. Ponadto poszczególne grupy będą wzbogacone materiałem ilustracyjnym, fotografiami, rysunkami i oryginalnymi przedmiotami towarzyszącymi zwykle w podróży, na polowaniu, na spacerze. Będą to pudła na kapelusze, termosy, butelki i biureczka podróżne, broń myśliwska, akcesoria powozowe oraz drobne przedmioty, które dotychczas zajmowały miejsce w magazynach. Idea zmiany ekspozycji jest słuszna i chyba jedyna możliwa do przyjęcia, biorąc pod uwagę, że w tej sytuacji budynek nie traci swego unikalnego, zabytkowego charakteru.

Poza eksponowanymi pozostaje 35 pojazdów, dla których brak jest miejsca. Odbudowywany na magazyn spichlerz w Brzózie Stadnickiej nie pomieści wszystkich, należałoby więc zaproponować władzom miejskim, by w perspektywach rozwojowych miasta przewidziały przekazanie na rzecz Muzeum Powozów starego budynku ujeżdżalni, użytkowanego obecnie przez PKS w Łańcucie.

W perspektywach rozwojowych Muzeum widzimy możliwość urządzenia tam salonu historii pojazdu zaprzęgowego z takimi eksponatami jak: rydwany, wozy bojowe, dyliżanse pocztowe i karety królewskie. Sądzę, że do opieki nad tego rodzaju zabytkami lub makietami filmowymi predestynowany jest tylko łańcucki ośrodek wiedzy w zakresie historii pojazdu zaprzęgowego. Tu gromadzi się materiały źródłowe i ikonograficzne, prowadzi się badania nad historią pojazdów konnych w Polsce, służy się informacją i konsultacją.

MUZYKA NA ANTENIE

Niedawno zakończyła się w Warszawie ogólnopolska narada redaktorów naczelnych wojewódzkich rozgłośni Polskiego Radia, poświęcona omówieniu ram nowego programu audycji. Efektem warszawskiego spotkania jest choćby i to, że nasza Rozgłośnia począwszy od połowy marca będzie emitowała codziennie dłuższy program o 30 minut. To daje pewną szansę poszczególnym specjalistycznym redakcjom (działom) Rozgłośni, ale nas na razie interesują audycje muzyczne. Przed tym jednak pytamy o podstawowe kryterium w ustalaniu muzycznego harmonogramu.

Odpowiada kierownik muzyczny Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie, Tadeusz Hejda.

— Zasada stara, ale ciągle aktualna: dla każdego coś miłego. To wydaje się banalnie proste — w gruncie rzeczy dotarcie do gustów słuchaczy jest wędrówką żmudną, skomplikowaną. Dlatego praktykujemy realizację audycji opartych na cyklach — dają one możliwość sprawdzenia celności, słuszności naszych założeń u odbiorcy, dają szansę wyboru według upodobań i wreszcie są systematycznym sposobem popularyzatorskiego przemycania wartości poznawczych i dydaktycznych.

Oto przykłady: „Utwory muzyczne, które każdy powinien znać" — audycja słowno-muzyczna, potraktowana jakby podstawowa lekcja, muzyczne vademecum. Cel ten spełnia również cykl „Uczymy się słuchać muzyki" — moim zdaniem — bardzo ważny, bo do odbioru muzyki poważnej słuchacz musi być przygotowany. Stąd nacisk na słowo wiążące, komentarz i felieton. Podobnie historia z cyklem „Muzyka naszych czasów" — niesłychanie trudna w przyjmowaniu, wymaga podbudowy komentatorskiej ciekawostkowej, przez wprowadzenie interesujących uwag. Takich popularyzatorskich kombinacji, karkołomnych zabiegów nie potrzebuje muzyka lekka i folklor.

— Popularność audycji odzwierciedla się w listach, opiniach i uwagach słuchaczy. Ciekawe, które cykle mają najwięcej miłośników?

Folklor. Korespondencje, które zasypują redakcję zbijają więc ostatecznie zarzut o przesycie muzyki ludowej... Drugie miejsce zajmuje program nocny. Możemy nawet mówić o sukcesie w tym względzie, zważywszy, że odzew po dobrej audycji przychodzi z całej Polski. Sobotnie, stałe „Włoskie canto" — również znane jest szerzej; od czasu do czasu przygotowujemy tę audycję dla programu ogólnopolskiego.

Zaznaczył Pan, że redakcja wystąpi z nowymi formami prezentacji muzyki; chcemy wiedzieć, czy od marca wejdą w skład programu nie znane jeszcze cykle.

Jest ich wystarczająco dużo (w tej krótkiej rozmowie nie omówiliśmy wszystkich), są różnorodne, urozmaicone, niektóre jednak wymagają jakiegoś odświeżenia. Wracam jeszcze do obchodów 25-lecia PRL — bo właśnie w każdym muzycznym cyklu będzie możliwe wprowadzenie elementu nawiązującego do dorobku muzycznego, zamykającego się w tym ćwierćwieczu Polski.

Pamiętamy też o młodzieży — z myślą o niej opracowana będzie parada najlepszych, naszych zespołów muzycznych rozwijających się przy szkołach, zakładach pracy, klubach...

... czyli to, co powiedziano już na początku, dla każdego coś miłego.

Rozmawiała: J. WOŚ

Czy zauważyłeś jak pięknie o nas pomyślał Wacław Kubacki, kiedy na zjeździe literatów błysnął sformułowaniem, że na książkę pisarza czeka 30 milionów wyobraźni? Uczynił nas niecdwracalnie współtwórcami literatury, pierwszymi jej sędziami, obdarzył nas wrażliwością, zaufał tej naszej wyobraźni, o bardzo przecież różnej skali napięć, ale też w każdym z nas bez wyjątku pracującej. I nic to, że ludzie czytają „Kochanków Róży Wiatrów" częściej od „Kordiana", nic — że trzeba ich było nabierać na Kartezjusza opaską „Tylko dla dorosłych", że młode dziewczyny sięgają po Stendhala i jego „O miłości", by już po paru stronach zadrzemać, nic — bo i tak są głodni cudzego świata, świata stworzonego różnymi wyobraźniami z myślą o różnych wyobraźniach.

Zaczynam się bać własnej tolerancyjności — muszę ci wyznać — gdy myślę o sprawach sztuki. Złośliwi twierdzą, że to dlatego, iż w kołysce czytywałam Prousta, więc cóż w końcu może mnie zbulwersować? Iksiński wierszem o włosach — martwym czerepie kokieterii? Mówisz pewnie, że nie rozumiesz? A któż ich zrozumie tych od czerepów, szeleszczących kamieni żalu, rozbebeszonych cywilizacją, rozpostartych w kosmosach namiętności (nie pożyczać — mam dobrą pamięć); któż ich zrozumie — powiadam — jeśli sami podlegają złudzeniom, że im wymyślniej — tym poetyczniej? Ale dlaczegóż nie uszanować tej pasji do tworzenia bełkotliwej bzdury — skoro proces jest bezpłatny i, choć czasem maniakalny, to wcale nie najszkodliwszy dla zdrowia psychicznego? Kiedym już bardzo zmęczona książkami, w których autor przerzuca bez namiętności Teresy, Grażyny, Anny przez swoją nie najczystszą pościel i konkluduje, że życie mu się rozdarło między owe Grażyny a samotne posłannictwo tworzenia, otwieram na chybił trafił „Czerwone i czarne" i odżywa namiętność, która parzy,

Jan Brygiel

WYKORZYSTANA SZANSA

Miasto powiatowe Strzyżów swą miejskością dotychczas najmniej mogło się chlubić. Ośrodek administracyjny i usługowy czysto rolniczego, drobnotowarowego regionu był jednym z najbardziej wiejskich, najbardziej rolniczych miasteczek w województwie. Poza rynkiem otoczonym niskimi kamieniczkami i paroma wąskimi, krótkimi uliczkami, żadnych innych znamion urbanizacji nie było. Większość mieszkańców Strzyżowa mieszkała w parterowych domkach rozsypanych bezładnie na pobliskich zboczach i uprawiała małe gospodarstwa rolne. Sporo z nich dojeżdżało codziennie do pracy w Rzeszowie, reszta z trudem znajdowała zatrudnienie na miejscu — w handlu, rzemiośle i administracji. Ten brak perspektyw rozwojowych, brak przemysłu, zastój gospodarczy miał duży wpływ na klimat obyczajowy i duchową atmosferę miasta. Pół-chłopi, pół-mieszczanie wyżywali się w konfliktach o miedzę, o zaoraną skibę, o wypasanie traw i sąsiedzkie kury. To właśnie tu rozgrywał się kiedyś proces między dwoma pieniaczami o naruszenie prawa własności do bryły powietrza nad posesją skarżącego. Miasto trzęsło się od plotek na zwykłe tematy: kto z kim, kto za co, kto z czego i kto komu, a te z kolei wywoływały nową falę pyskówek.

W jednej knajpie w rynku pito gęsto, czasem na umór. Po iluś tam kieliszkach wybuchały zadawnione kombatanckie urazy z okresu okupacji, często dochodziło do bójek. Tradycje partyzanckie były na tym terenie bardzo silne. Poza tym łupało się często w karty, a podrostki szlifowały końskie łby rynku Trudno zresztą było tu wtedy o inną rozrywkę.

Kino działało w warunkach odstręczających od korzystania z filmu, biblioteka również, nie było lokali do działalności klubów, świetlic... Nie mógł wystąpić żaden zespół teatralny czy estradowy, gdyż nie było żadnej sali widowiskowej (zwłaszcza od czasu rozpoczęcia długotrwałego remontu gmachu dawnego „Sokoła").

Na szczęście można już dziś ten melancholijny portret Strzyżowa z lat pięćdziesiątych odłożyć do archiwum pamięci. Minął już czas, w którym jedynymi walorami miasteczka malowniczo rozłożonego w dolinie Wisłoka u stóp Żarnowskiej Góry była sielskość, uroki krajobrazu i zwolniony, spokojny rytm życia. Od kilku lat coś się zaczyna tu dziać, Strzyżów urbanizuje się rozrasta i zmienia swój charakter. Po długich staraniach, zabiegach, wydeptywaniach ścieżek w ministerstwach przez miejscowych działaczy wkroczył wreszcie do Strzyżowa przemysł i zgalwanizował senne miasto. Nad Wisłokiem pojawiły się już pawilony i hale fabryczne Fabryki Mebli, która w najbliższym czasie przy wysokim stopniu mechanizacji produkcji da zatrudnienie około 600 osobom. Zakład zbudował już 2 bloki mieszkalne dla swoich pracowników, które łącznie z kilkoma przedtem wzniesionymi tworzą już nowy akcent urbanistyczny w panoramie miasteczka. Już wcześniej znacznie rozbudowano zakład cukierniczy „Roxana" spółdzielni inwalidów, w którym znalazło pracę około 250 osób. Jeszcze w bieżącym roku rozpocznie tu budowę swojego satelitarnego zakładu Huta „Stalowa Wola". Będzie on produkować betoniarki i zatrudni 500 osób. Miasto oddało już teren pod tę inwestycję i niecierpliwie czeka na rozpoczęcie prac budowlanych.

Perspektywy rysujące się przed Strzyżowem pobudziły ambicję jego mieszkańców. Nikt tu oczywiście nie liczy na to, że Strzyżów stanie się dużym ośrodkiem przemysłowym, ale wszyscy pragną wykorzystać szansę ożywienia gospodarczego i kulturalnego miasta, która tak wyraźnie się zarysowała w ostatnich latach. Rozbudowa i budowa choćby niewielkiego przemysłu pociągnęła za sobą rozwój i modernizację urządzeń komunalnych i bazy kulturalnej. Powstało sporo nowych, ładnych sklepów, przebudowano nawierzchnię rynku i zainstalowano tam oświetlenie rtęciowe, otworzono w rynku miłą kawiarenkę i bardzo przyzwoitą restaurację. Wiele ulic pokrył asfalt. Obecnie kończy się budowę dużego domu handlowego w rynku, którego parter również zajmą nowe lokale gastronomiczne. Miasto uzyskało ostatnio sporo nowych placówek kulturalnych i oświatowych. Zbudowano gmach Technikum Ekonomicznego i internat dla tej szkoły, po remoncie i adaptacji budynku dawnego „Sokoła" Strzyżów otrzymał wreszcie Powiatowy Dom Kultury i panoramiczne kino — stara zabytkowa synagoga stała się po przebudowie pięknym obiektem kulturalnym użytkowanym przez bibliotekę powiatową. Zbudowano również oaństwowe przedszkole oraz zmodernizowano gmach Liceum Ogólnokształcącego. Niemały to dorobek zważywszy, że obiekty te powstały w ciągu kilku ostatnich lat. Zresztą i na potrzeby administracji oddano „to, co cesarskiego". Rozmawiam o planach rozwoju Strzyżowa z przewodniczącym Prez. MRN, Adamem Kuchem, w nowym, zgrabnym biurowcu, w którym mieści się Prezydium Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej. Rozpoczęto już także budowę gmachu dla Komitetu Powiatowego PZPR. Nie można oczywiście przypisywać tego widocznego rozwoju Strzyżowa wyłącznie zasłudze wkraczającego tu przemysłu. Powstają tu zakłady nie tak znów duże, by mogły mieć decydujący wpływ na życie miasta. Wiele osiągnięto dzięki pobudzeniu lokalnego patriotyzmu i ambicji mieszkańców Strzyżowa, nieraz fanatycznie, jak to bywa w takich małych starych osadach zakochanych w swoim mieście.

I sekretarz Komitetu Powiatowego partii, tow. Aleksander Michoń, opowiada o podjętej przez siebie akcji angażowania wszystkich ludzi dobrej woli do bezinteresownego świadczenia usług dla rozwoju i upiększenia miasta. Często są to ludzie dotąd niedostrzegani lub wręcz odsuwani od życia społecznego. Okazuje się, iż można liczyć na ich ofiarność i dobrą wolę — służą miastu projektami wnętrz lokali gastronomicznych i handlowych, planami, pomysłami i inicjatywami oraz pracą społeczną przy wznoszeniu nowych obiektów. Są to architekci, inżynierowie, urzędnicy czy lekarze pracujący często w innych miastach. Nic dziwnego, że w tym klimacie wiele zrobiło się w czynie społecznym, m. in. stadion sportowy, oświetlenie ulic, planuje się budowę kąpieliska, parku miejskiego, szaletu publicznego ... itp. Już dawno minęły te czasy, gdy grupa strzyżowian protestowała przeciwko modernizacji budynku „Sokoła" i przeszkadzała przy powstaniu PDK-u i nowego kina w imię obrony interesów dawnego towarzystwa gimnastycznego „Sokół", któremu WZKin rzekomo zabiera obiekt. Dzisiaj nie ma już malkontentów, nie przeszkadzają nawet obrońcy sielskości Strzyżowa, gdyż miastu nie grozi zbyt daleko posunięta industrializacja, zanieczyszczenie ożywczego, podgórskiego powietrza i zniekształcenie pejzażu. Plany rozwoju miasta przewidują, iż dzisiejszy 4-tysięczny Strzyżów około roku 2000 liczył będzie 15 tysięcy mieszkańców i będzie ośrodkiem wypoczynkowym dla Rzeszowa. Dlatego przywiązuje się tu wiele uwagi do budowy obiektów sportowo-turystycznych i przygotowania odpowiedniej bazy wypoczynkowej. Trzeba przyznać, iż miasteczko posiada znakomite warunki rekreacyjne i że te plany ojców miasta mają pełne uzasadnienie i realne szanse urzeczywistnienia. Wisłok płynący przez centrum miasta z przystanią kajakową, bliskie wzgórza pokryte pięknym lasem, malownicze położenie i dobre warunki klimatyczne ściągają do Strzyżowa wielu ludzi już dzisiaj na atrakcyjny urlop. Świetne warunki narciarskie i skocznia w Łętowni nęcą amatorów sportów zimowych. I tam właśnie, w odległej o kilometr od miasta Łętowni, projektuje się budowę ośrodka rekreacyjnego. Już od kilku miesięcy jest tam czynna restauracja „Pod Skocznią" z małym hotelikiem, tam powstanie basen kąpielowy, osiedle domków kampingowych i duży, naturalny park miejski, na który miasto przeznaczyło 7 ha lasu komunalnego. W tej chwili toczą się pertraktacje Rady Zakładowej Huty im. Lenina z Prez. MRN w Strzyżowie w sprawie budowy w Łętowni ośrodka wypoczynkowego Huty. Ale miasto chciałoby tam zbudować także osiedle kempingowe ogólnie dostępne i liczy na pomoc w tej sprawie ze strony WKKFiT oraz przedsiębiorstw turystycznych. Sądzę, że warto się tymi projektami zainteresować i udzielić Strzyżowowi pełnej pomocy w ich realizacji. Łętownia jest bardzo atrakcyjnym miejscem wypoczynku.

Przykład rozwijającego się w oczach Strzyżowa znajduje w naszym województwie wielu naśladowców. Niejedno z małych, cichych i wiejskich miasteczek uchwyciło w ostatnich latach „wiatr w żagle" dzięki własnym ambicjom, zaangażowaniu społecznemu obywateli, małej industrializacji, a przede wszystkim dzięki ustawie o aktywizacji małych miasteczek i jej konsekwencjach ekonomicznych. Strzyżów korzysta ze swojej szansy rozwoju mądrze, po gospodarsku, mobilizując wszystkie rezerwy.

---

niszczy, oczyszcza; kiedy widzę zdanie lepione z tandety słów, opornej składni, gramatycznych hocków-klocków, zaglądam do „Dżumy" i małego pokoiku starego urzędnika, który zżerał się wątpliwościami czy „piękne Amazonki w Lasku Bulońskim spacerowały", czy „w Lasku Bulońskim piękne Amazonki", czy „spacerowały w Lasku Bulońskim". I żal mi energii marnowanej na Laski Bulońskie; i smutno mi, że nie można podać do wierzenia jak to trudno z tymi Amazonkami, z tą świeżością, z tym szamotaniem się między poprawnością syntaktyczną a żarem efektów nią wyrażanych, jej w końcowym efekcie podporządkowanych, choć żyjących ponad nią myślą, ideą, przeżyciem.

Wszyscy mamy pisarza, z którym pod rękę chodzimy po życiu, często ani umiejąc rozdzielić co nasze własne, a co odeń pożyczone i zasymilowane. Traktujemy go jako własność, czasem wiemy, że dzięki niemu nasz wstęp do życia był szybciej gotowy, czasem przydatny był jego sposób myślenia dopiero w późnej dojrzałości; ale jedno pozostaje niezmienne — zawsze myśląc „pisarz" myślimy „jego myśl". I jesteśmy jak huby oraz jemioły, żerujące na cudzej myśli dla własnych szczęść, potrzeb, dla korekty owego modus vivendi, który w końcu nigdy nie jest absolutnie własny, z nas tylko, z tego tylko co samiśmy sprawdzili — wypracowany.

Czemu tak kocham Stendhala? — stale mnie pytasz, niecierpliwy, niewiele rozumiejący z mojej adoracji. Może dlatego, że obcy współczesnym żył ich życiem intensywnie i twórczo? Że jego niepokój, jego nienawiść, były w gruncie rzeczy ich nienawiściami, ich niepokojami? Że jak kronikarz zapisał dla nas ten wiek dziewiętnasty; przed niczym co tamto stulecie rozdzierało nie uciekał, ładował swój temperament w sprawy niepopularne, sam nielubiany, z cynizmem mówiący o czytelnikach — w istocie czekał z drżeniem wrażliwego serca na swoje francuskie 40 milionów wyobraźni. I może z tego niepokoju, z niecierpliwości nie pieścił się ze zdaniem, zostawiał „puszczone" całe połacie powieści? Szukając Albertyny desperacko, szukał jej nie w czterech ścianach pokoju, ale po świecie szerokim i to były Albertyny — Matyldy realne. Biedny teoretyk miłości, w której pomieścić chciał intelekt i wzruszenie, oba złączone w najpełniejszy kształt efektu, płynącego z rozumu i serca...

Tak ci to wszystko piszę, bo przychodzi moment, kiedy uroda kwiatów wymyślona olśniewa człowieka i wtedy bodaj na chwilę odwraca się on tyłem do wszelkich tandet, płynących z ułomności rozumu, odświeża się psychicznie, wyłuskuje z dawno poznanych wartości jeszcze jeden cenny drobiazg i zachłannie przypasowuje go na własny użytek. Dziać się to może tylko za sprawą sztuki i stąd pewne to nasze zacietrzewienie, gdy o niej mówić przyjdzie.

Napisałam ci na wstępie, żem tolerancyjna i boję się jednocześnie własnej tolerancji. Czas by ci powiedzieć, dlaczego się jej boję, albo która cząstka tej tolerancyjności byłaby złą tolerancją, pobłażaniem temu, czemu pobłażać niepodobna. Niech wszyscy piszą — lepsze to w końcu od rujnujących zdrowie nałogów; właściwie grafomaństwo mnie bawi i zupełnie mi nie przeszkadza. Ale ci, których trudno pomieścić między grafomanami niech ze sztuki nie uprawiają poletek doświadczalnych fałszywych idei. I właściwie na dobrą sprawę, najważniejsze to kryterium, którego przestrzegałabym, gdybym była wydawcą. Mniej groźna jest cała Mniszkówna, choć szkoda na nią papieru — od jednego precyzyjnie sformułowanego zdania przeciw człowiekowi. W końcu w całym świecie słychać pleplanie i nikt jeszcze od tego się nie pochorował; bywały jednak książki, które niosły swoją zawartością złe i dobre rewolucje umysłu; burzyły religie — rodziły religie; paliły nieba, wadziły się z ich mistyczną zawartością i stawiały nowe totemy; były za człowiekiem, dla człowieka i... będąc o człowieku — były przeciw człowiekowi. Przeciw człowiekowi grzeszyły pustką myśli — to te mniej groźne i kłamstwem myśli — te najgroźniejsze.

Do wszystkich książek wszystkich pisarzy zaprzęgamy w końcu tę naszą wyobraźnię i pracujemy, często z niewspółmiernie potężnym mozołem do zawartości tam proponowanych. Te 30 milionów wyobraźni polskich — Kubacki dobrze wiedział, że nię mogą być bagatelką! Oddał im samym sformułowaniem miejsce tak bardzo potrzebne w dziejach kultury polskiej, bo żadnej z tych wyobraźni nie zlekceważył. Nawet tej, która sięga po „Kochanków Róży Wiatrów", jeśli kryje się za nią niepełna wiedza o literaturze, a pełny umysł zmęczenia codziennym obowiązkiem; jeśli więcej w tym procesie czytania wiary w odprężenie, aniżeli chęci poznania.

Nie jesteś pierwszym człowiekiem, z którym rozmawiam o literaturze i nie z każdym to tak łatwo czynić jak z tobą, ale powiedz czy można wzruszyć ramieniem i iść dalej, kiedy co najmniej połowa z tej 30-milionowej rzeszy wyobraźni ciągle jeszcze nie wyszła poza Sienkiewicza i Prusa, bo tamtych rozumieją, a współcześni są dla nich hermetyczni, bądź pospolicie nudni? Dziesięć lat temu pasjonowałam się „Gumami" Alain Robbe-Grilleta; dziś wzięty w rękę Butor pachnie mi nieco rodzimymi antypowieściami na -ski i -cki i odkrywam, excusez le mot — prowincjonalne pożyczki w sposób łatwy i oczywisty. Głód Kraszewskiego i Sienkiewicza (znowu wypada się tłumaczyć z tego zestawu nazwisk bezwzględną statystyką czytelniczą) kiedyś tam będzie zaspokojony, przeszłość nie tyle może przestanie interesować — ile wystarczać, a współczesność dalej ma zostać hermetyczna bądź nudna?

Drogi mój, ja celowo upraszczam, bo nie lekceważę przynajmniej połowy wyobraźni z wymienionej przez Kubackiego liczby. Bo oni są zmęczeni, chętni do poczytania, dzielnie tą wyobraźnią ruszający — tyle że wysiłek, jaki można im byłoby zaproponować wcale nie wydaje mi się uczciwy w proporcjach do zapotrzebowania.

Człowiek najchętniej słucha o sobie. Szuka recepty na swoje życie. Mozolnie wyłuskuje i bada przydatność cudzych sądów w jego postępowaniu. Niektóre recepty z przeszłości zwietrzały jak lek w domowej apteczce, do którego od lat nie zaglądaliśmy i do którego zgubiliśmy zakrętkę.

Kończąc, wierzę, że twoja wyobraźnia dopowie tę całą resztę, której tu nie zdołałam pomieścić i prawiem pewna, że na tym nie poprzestaniemy. Że temat ważki jak część naszego życia i to ta część najdoskonalsza wyznaczy kolejność przetrzepywania sądów o modzie, koniunkturze czy efekciarstwie w sztuce, którymi psuć nie przystało owego zafascynowania słowem, literacko przetworzonym w filozoficzną podporę ludzkiej egzystencji.

KRYSTYNA

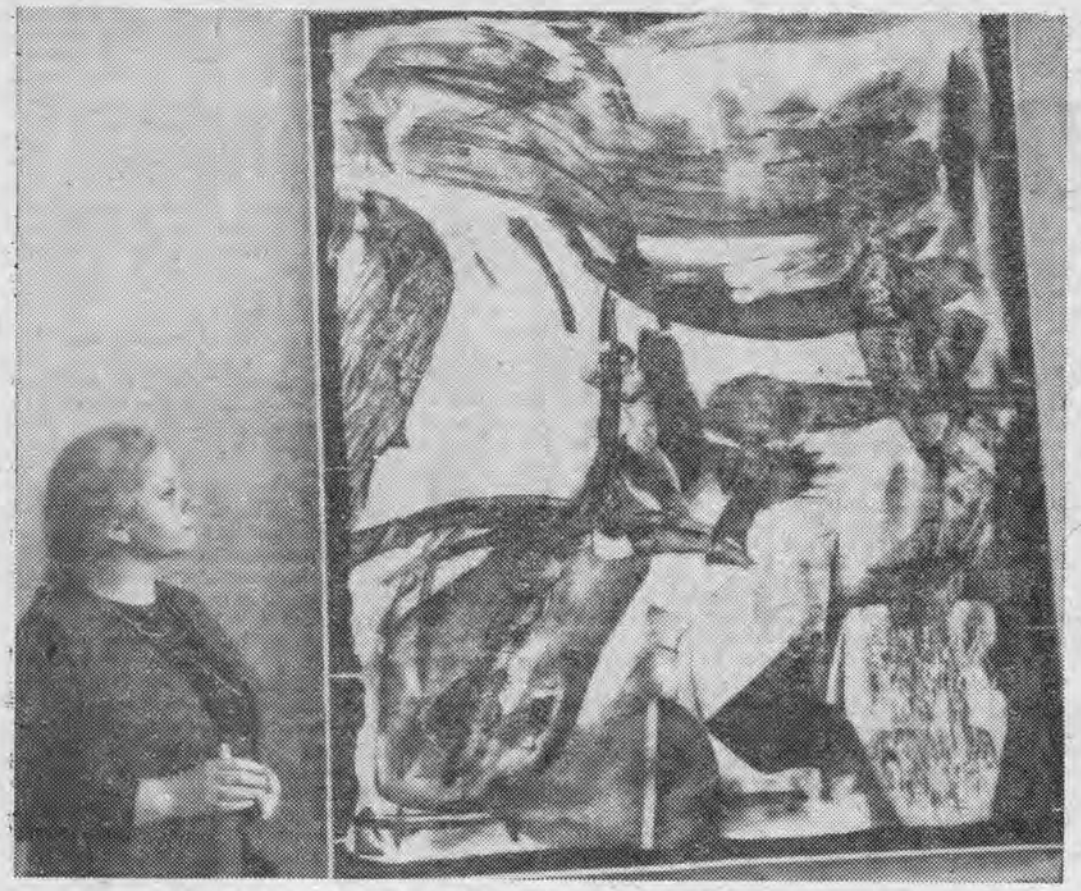

Danuta LESZCZYŃSKA - KLUZOWA przed jedną ze swoich prac.

Wystawy w rzeszowskim Domu Sztuki

Redaktor naczelny „Nowin" Henryk Pasławski gratuluje Jerzemu Sienkiewiczowi.

Ryszard Bilski

Afrykański rejs (II)

Trzy dni

Dunkierka nie jest zbyt atrakcyjnym portem. Stare wygi morskie wolą wygodnie wyciągnąć się w łóżku, poczytać prasę, nawet sprzed kilku tygodni niż wychodzić na miasto. Skoro jest się jednak po raz pierwszy w tym znanym z drugiej wojny światowej mieście, jak to mówi pewien „polako-francuz" z Dunkierki, zupełnie inna sprawa.

Szybko obiegliśmy miasto. Przed dworcem kolejowym cisza i spokój. Taksówki, eleganckie z umieszczonym z tyłu szyldem „Jakubtzak" — czyżby jakiś bogaty rodak? — oczekują na spóźnionych pasażerów. W hallu dworcowym nie ma żywego ducha, czynna jest tylko jedna dyżurna kasa.

Wracamy do portu. Inżynier z Wrocławia zainteresował się — „Jakubtzakiem".

— Polacy są wszędzie, nie ma chyba takiego miejsca na ziemi, gdzie by nie można było spotkać rodaków — stwierdza dość głośno... na tyle głośno, że usłyszał go jakiś przechodzień, który męczył się właśnie z uruchomieniem motoroweru.

— To wy Polaki?

Wyciągnął z kieszeni marynarki pękaty od zdjęć porfel. Pożółkłe i nadgryzione przez czas fotografie przedstawiały naszego znajomego w wojskowym mundurze z polskim orłem na berecie. Starszy grenadier Aleksander Adamkiewicz był wówczas o blisko ćwierć wieku młodszy, szalały za nim szkockie dziewczyny, choć i teraz nic mu — prócz pieniędzy — nie brakuje.

Zaprosiliśmy go wraz z rodziną na statek. Zrobił niewesołą minę... nie mam samochodu, tylko to g..., kopnął przy tym motorower, aż się o mało nie przewrócił. Mieszkam 5 kilometrów za Dunkierką, ale przyjadę.

Na widok polskiej flagi rozpłakał się... jeszcze nigdy nie byłem tak blisko Polski, przecież statek to kawałek ojczystej ziemi... urodziłem się w Dunkierce, ale rodzice byli Polakami, mieszkali w Jarocinie. Mam obywatelstwo francuskie, czuję się jednak Polakiem, chodziłem do polskiej szkoły, w domu też obowiązywał język polski, swoje dzieci również uczę tego języka.

W Dunkierce mieszka ponad 3 tys. takich „Adamkiewiczów". Różnie się im powodzi. Jedni mają nawet po dwa samochody, inni tylko zdezelowane motorowery, na których dzień w dzień, zima, lato dojeżdżają do pracy.

Nasz Adamkiewicz był chyba przez te trzy dni postoju „Rzeszowa" w Dunkierce najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Codziennie odwiedzał statek, podczas jednej z wizyt przyniósł swoje najdroższe pamiątki, dyplomy wojskowe i pieczołowicie przechowywane dystynkcje. Prowokował rozmowy o sławnych Polakach, czuł się dumny z Marii Skłodowskiej-Curie i Fryderyka Chopina. A gdy tak z przekory powiedziałem, że Chopin to przecież... francuskie nazwisko, zacisnął pięści i w żartach o mało nie „dołożył mi zdrowo".

O sławnych Polakach wiedział dużo, ale o Polsce znacznie mniej.

W niedzielę dalszy ciąg zwiedzania. W dzień miasto wydaje się mniejsze niż w nocy i trochę brzydsze. Jest zimno, wieje dość silny wiatr. Wprawdzie Francuzki nie noszą tu już spódniczek mini, są jednak ubrane bardzo lekko.

Tak jak w Rzeszowie wiadomo, że gdzie jak gdzie, ale na 3 Maja, można spotkać znajomych, tak w Dunkierce centralnym punktem „zbornym" są dwa wesołe miasteczka. Karuzele, gabinety grozy, strzelnice sportowe, loterie... to samo, co i u nas na większym odpuście, tylko że w znacznie lepszym wydaniu. Wszystko jak prosto spod igły, lśni świeżością lakieru, cieszy oko całą gamą pastelowych barw.

Wieczorem „zaliczamy" kilka kafejek. Na jednej z ulic prawie 40 lokalików oferujących do godziny 2 w nocy kawę, aperitify, najnowsze przeboje z grającej stereofonicznej szafy i czasami jeszcze „coś" więcej. Dla nas „bezdewizowców" to „coś" jest niegroźne, żony marynarzy mogą spać spokojnie.

27 stycznia. Poniedziałek. Ożyła praca w porcie. Wszyscy na

● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ●

„Więcej poetów dobrych i różnych"

Jako nauczyciel języka polskiego karmię swych podopiecznych poezją, która pozwala mi różnorako kształtować ich osobowość. To ośmiela mnie do wzięcia udziału w toczącej się dyskusji o poezji współczesnej. Tadeusz Piekło w drugim numerze „Widnokręgu" z bieżącego roku zamieścił artykuł pt. „Noworoczna kolumna KKMP". Nie powinno ulegać najmniejszej wątpliwości dla nikogo z czytających tę wypowiedź Piekły, jaki jest cel jej autora. Przecież wyraźnie on stwierdza: „Niech mi wolno będzie na zakończenie rzucić pytanie, o które na początku chodziło: czy nas, młodych pisarzy, członków i niecłonków KKMP — czy też nas przypadkiem publikacje naszych wierszy nadmiernie nie satysfakcjonują, a łatwość owej publikacji za bardzo nie uspokaja? Jeśli udało mi się posiać przysłowiowe ziarno niepokoju — cel artykułu został osiągnięty".

Ale mimo tej jaskrawej intencji, dyskutanci bądź to jej nie dostrzegli, bądź nieodpowiednio ją oświetlili. A przecież w powyższych zdaniach jest mowa o sumieniu pisarza, bez którego nie może być dobrej literatury. Każdy adept pióra powinien o tym pamiętać. Smutno mi, że poeci Wiesław Kulikowski, Czesław Kondraciuk, Piotr Żbikowski nie zrozumieli wielce szlachetnych zamiarów swego kolegi, który swym wystąpieniem nie dał nikomu żadnych powodów do obrażania się. Tekst Piekły bowiem nie jest gołosłowny — są argumenty, widać zrównoważenie piszącego i postawę obywatelską — społeczną.

Nie mogą spokojnie percypować takich oto „kontrargumentów" złośliwego polemisty: „Równie naiwny jest kolejny apel pod adresem środowiska piszących..., aby zwiększyć wymagania wobec siebie... pisać lepsze wiersze. Wątpię, czy kolegów z Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w Rzeszowie „uspokaja łatwość publikacji", bo właśnie na ostatnim zebraniu można się było dowiedzieć, jak nieraz trudno o tę publikację, jak trzeba czasem czekać na wydrukowanie wiersza lat... dwa"... — Norwid czekał na Miriama od 1884 roku do 1901. Jak to dobrze, iż zaraz obok tego, co napisał Piotr Żbikowski znalazł się nagłówek artykułu Gerarda Wójcika: „O odpowiedzialności społecznej i moralnej". Jeżeli będziemy uważać literaturę, a więc i poezję, jak to formułuje Adolf Rudnicki, za „spowiedź", to dyskutujący poeci mogli szczerze pospierać się z sobą o swych udrękach warsztatowych itp., gdyż „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie".

Teraz kilka słów o krytyce literackiej, której próbki dał Tadeusz Piekło, interpretując dziewięć wierszy poetów rzeszowskich. I właśnie dlatego, iż to jest krytyka literacka, musi być ona nieobiektywna, niedokładna, napastliwa, mentorska. Krytyka bowiem ma to do siebie, że opiera się na indywidualnym wrażeniu, odczuciu. Powinna być również wartościująca. Krytyk powinien śmiało ryzykować i używać odpowiednich terminów. Na ogół zgadzam się, z pobieżną z konieczności, analizą utworów, dokonaną przez Piekłę. Opiera się on chyba na terminologii interpretacyjnej Juliana Przybosia, na jego teorii poezji: „najmniej słów, a najwięcej znaczeń" — to szeroko znana dewiza twórcza autora „Czytając Mickiewicza". Patrzenie na utwór, ocenianie go z aspektu nowoczesności i oryginalności jest zabiegiem bardzo pożytecznym i postępowym. Nowoczesnymi, w myśl założeń Przybosia, są wiersze Wiesława Kulikowskiego, Zofii Stąpor, Zdzisława Ostrowskiego, inne to wiersze tradycyjne: gorsze i lepsze. „Refleksje" Zołowskiego, „dojrzałość oczu" Dryi, „Patrzę z bliska Ci w twarz" Żbikowskiego mówią o przemijaniu. Temat eksploatowany przez legiony poetów różnych epok. Ujęcie formalne, proste, ubogie. Obrazowanie pseudobogate, gdyż nie nowatorskie, banalne, np. „przestała kwitnąć — radość", osypał się kwiat uniesień (Dryja), „symfonię deszczu", „okna zmierzchni" (Zołowski), „zatopione kontury wspomnień", „piasek na wybrzeżu twarz ci wyrzeźbił" (Żbikowski). Wszystko to przenośnie potoczne. W „Refleksjach" wśród wielu kwiecistości znajduje się metafora synestezyjna: „przestrzeń zastygła taflą nieba" — właściwa dla Młodej Polski i oczywiście zarzucona przez współczesność. Tutaj obrazowanie jest ciężkie, „barokowe", niepotrzebne, co tłumi liryzm i refleksje, których jest bardzo mało. Podobne wady można znaleźć u Dryi i Żbikowskiego. Najlepszy z tych trzech jest utwór Żbikowskiego. „Zimowe pastorałki" Kondraciuka także odznaczają się bogactwem motywów, które nie są w takim stopniu „prozaiczne", jak u ostatnich, a ponadto dla „świata baśni" są konieczne. To celowe obrazowanie występuje u Franciszka Ceglaka, szczególnie w drugiej zwrotce. Jest ono prócz tego dosyć odkrywcze. Te dwa czynniki stwarzają kategorie piękna, a o to chodzi w każdym wierszu.

Ludomir Mazela chyba chciał nas wzruszyć hełmem żołnierskim, jako rdzawym znaleziskiem wieku dwudziestego. Ta treść to chyba pointa utworu, a zatem ten element, który powinien być bardzo ekspresywny. Tymczasem niczym się ona nie wyróżnia. Jest wartościowsze od niej stwierdzenie, jedyne: „W chaos gąszczu upadły z pogwaru ptasiego". W dwudziestoleciu międzywojennym niektórzy krytycy walczyli z typem wiersza, który był w przeważającej większości opowiadaniem czy opisem, ale kończył refleksją liryczną. Wiersz Mazeli jest podobny, łatwy. Może lepiej by było, żeby było więcej w nim myśli i trudności (np. są w nim niewyszukane porównania: „płyną obłoki — gołębie uśpione". Porównanie jest stosunkowo łatwym środkiem poetyckim). Te me rozważania powinny przekonać czytelników, że jestem zwolennikiem rygoryzmu w sztuce, w poezji, celowości, który stanowi zasadniczy wyznacznik piękna. Chodzi o rygoryzm treści i formy. We wszystkich omówionych utworach widać w mniejszym lub większym stopniu swobodę wyobraźni, „wyobraźnię wyzwoloną", jak powiada przyjaciel Przybosia, poeta i teoretyk awangardy Jan Brzękowski. Wszystko co zbliża twórców do poetyk ekspresjonizmu i nadnaturalizmu, które są prądami intelektualistycznymi, opierającymi się na freudyzmie, jest dla poety niebezpieczne, bo może go uczynić niezrozumiałym. U źródeł każdego wiersza powinna być myśl. A owych myśli nie bardzo widać u rzeszowskich poetów. W tworzywie zaś językowym są one bardzo wyblakłe. Tadeusz Peiper, przywódca duchowy awangardy powiedział, że wszystko co w tworzeniu przychodzi artyście łatwo „jest albo cudze, albo złe". Precz z bezmyślnością w każdej pracy, tym bardziej w pracy twórczej! Poeta to rzemieślnik, jak powiadał Norwid — ojciec współczesnej poezji polskiej. Trzeba być robotnikiem słowa, wtedy będzie „więcej poetów dobrych i różnych" (Wł. Majakowski). Niewątpliwie Redakcja „Widnokręgu" kwalifikując wymienione przeze mnie wiersze (analizowane) do druku, kierowała się pewnymi kryteriami. Trzeba przyznać, iż nie są one bez wartości dla czytelnika. Są one dostosowane do poziomu przeciętnego odbiorcy, takiego, który lubi wiersze werbalne i dające sprawozdanie z myśli i przeżyć. W każdym okresie literackim są geniusze i grafomani. Choć myślą przewodnią artykułu Tadeusza Piekły nie była tzw. niezrozumiałość we współczesnej poezji, to jednak zajmie się tą sprawą, gdyż jest ona problemem niebłahym. Rzecz jasna, iż wszyscy poeci powinni dbać o więź z odbiorcą. Rozbrat między nimi a czytelnikami jest czymś naturalnym (wynika z róż-

w Dunkierce

statku bardzo się cieszą, bo zanosiło się na strajk, wówczas pozostalibyśmy w porcie, którego już nawet i my, pasażerowie mamy dosyć. Dźwigi przenoszą z nabrzeża na pokład beczki, skrzynie, jest nawet i samochód. Jak drobnica to drobnica... ziemniaki, sól, oleje, cukierki, mięso. Praca kończy się o godz. 18 punktualnie. Następnego dnia, we wtorek, dalszy ciąg załadunku. Z Dunkierki zabieramy do ładowni „Rzeszowa" ponad 500 ton towarów. Praca trwa mimo deszczu. Każda minuta jest droga, jutro dokerzy mają już na dobre strajkować.

My też nie zwracamy uwagi na deszcz i po 15 minutach szybkiego marszu, jesteśmy w centrum miasta. Kapitan wyczuł widać nasze zamiary, bo na odchodne ostrzegł — Francja jest droga, radzę każdego dolara przed wydaniem obejrzeć 100 razy i... schować do kieszeni.

Obiecujemy sobie postępować w myśl kapitańskich wskazówek. Błyskawicznie, prawie jak mózgi elektronowe przeliczamy franki na dolary i na złote i to w dwóch wariantach (czytaj — kursach). Jak by nie liczyć, przeliczać — cholerna drożyzna. Kurtki ortalionowe, koszule popelinowe, „ajronowe", co najmniej dwa razy droższe niż w Polsce. To samo z butami i damską (pamiętaj o TYCH, co w kraju) bielizną. Drogie są również artykuły radiotechniczne i sprzęt fotograficzny.

Nie dajmy się nabrać sprytnym handlowcom, którzy ustawiają w witrynach sklepowych olbrzymie napisy „OKAZJA", „OBNIŻKA CEN". Gdyby wierzyć tym obniżkom, należałoby wszystko kupować jak leci, no bo czyż nie opłaca się zapłacić za eleganckie zamszóweczki 39 franków, skoro kosztowały one — jak informuje przekreślona cena — 80 franków, albo koszulkę polo za 31 franków, a nie za 73?

W sklepach, najwięcej magazynów z obuwiem, pustki. Sprzedawcy wypatrują klientów. Z nudów albo raczej z rozkazu szefa co jakiś czas omiatają za pomocą puszystych miotełek zrobionych z jakichś bardzo delikatnych piór ptasich wystawione towary. Gdy tylko przestanie padać, przed sklepami wyrastają jak grzyby po deszczu stoiska, znów napisy informują i zachęcają do okazyjnego kupna po obniżonych cenach. Sprawnie działają i nie oszukują uliczne automaty z czekoladkami, gumą do żucia i cukierkami.

Dunkierka zaliczana jest do małych miast francuskich. Bez dzielnicy portowej liczy około 30 tys. mieszkańców, lecz posiada, jak to się mówi, wielkomiejski gest. Ruch jak w Warszawie! Samochody jeżdżą na pewno szybciej. Najwięcej jest „Citroenów". Najmodniejszy model to „Diana". Cóż za wspaniała „brzydula". Mało pali, jest szybka, mocna i dość pakowna. Mimo ożywionego ruchu i szaleńczej (w naszym pojęciu) jazdy kierowców, wypadków nie jest dużo. Zasługa w tym na pewno sprawnie działających hamulców, jak też — i to chyba głównie — bystrych, z dużym refleksem, kierowców. Ważna jest także rutyna, codzienna jazda do pracy, do domu i później jeszcze bez celu.

Tymczasem na statku...

Wre praca Dokerzy nadal ładują, mechanicy przywracają do życia marniutką po remoncie maszynę. Mało brakowało, a w sobotę podczas wejścia do portu w Dunkierce bylibyśmy stuknęli statkiem o keję, ponieważ nie można było włączyć „całej wstecz".

Wieczorem, po kolacji, obwieszczono załodze radosną wiadomość — kino! Na rozwieszonym w mesie ekranie przez dwie godziny można będzie oglądać bohatera „Rękopisu znalezionego w Saragossie" — Z. Cybulskiego. Obecność tego doskonałego aktora na ekranie statkowego kina ma szczególną wymowę — podczas próbnego rejsu „Rzeszowa" w 1967 r. nakręcano na naszym 6-tysięczniku kilka scen „Całej naprzód" z Z. Cybulskim w roli głównej.

Film to wydarzenie wielkiej wagi. Przygotowania doń trwają kilka dni A w dniu projekcji, na pół godziny przed rozpoczęciem seansu każdy każdemu przypomina by nie przegapił, a później nie żałował, choć i tak za trzy, cztery tygodnie film poleci jeszcze raz...

Po kinie motorzyści zaprosili mnie na pełne jasne, oczywiście eksportowe kupione w „Baltonie".

Rodem z Rzeszowa, wyuczeni w Szkole Morskiej w Szczecinie sami bardzo chcieli, by ich zamustrowano na patronacki statek. Jakoś to zawsze przyjemniej być na „własnym" motorowcu, łatwiej wówczas znieść czas rozłąki z rodzinnymi stronami, rodziną i kolegami. Ryszard Krukowski skorzystał z dłuższego ostatniego postoju statku w stoczni i zdążył się ożenić. Oczywiście, w Szczecinie. Jego kolega Roland Puzowski obiecuje sobie również zmianę stanu cywilnego po powrocie z rejsu. Także poznał swą dziewczynę w Szczecinie. Jak integracja to integracja — głębokie śródlądzie z wybrzeżem.

Motorzyści oprócz obowiązków służbowych mają także wiele innych. Są m. in. odpowiedzialni za działalność kulturalno-oświatową Organizują zgadujzgadule, w których wiele pytań dotyczy właśnie Rzeszowszczyzny, turnieje szachowe itp. Korzystając z okazji, że wśród pasażerów znajduje się znany podróżnik Arkady Fiedler, mają w swych planach zafajkowany wieczór z literatem.

W środę, 29 stycznia, wpłynęliśmy rano do Sekwany. Po siedmiu godzinach byliśmy już w jednym z największych portów francuskich w Rouen.

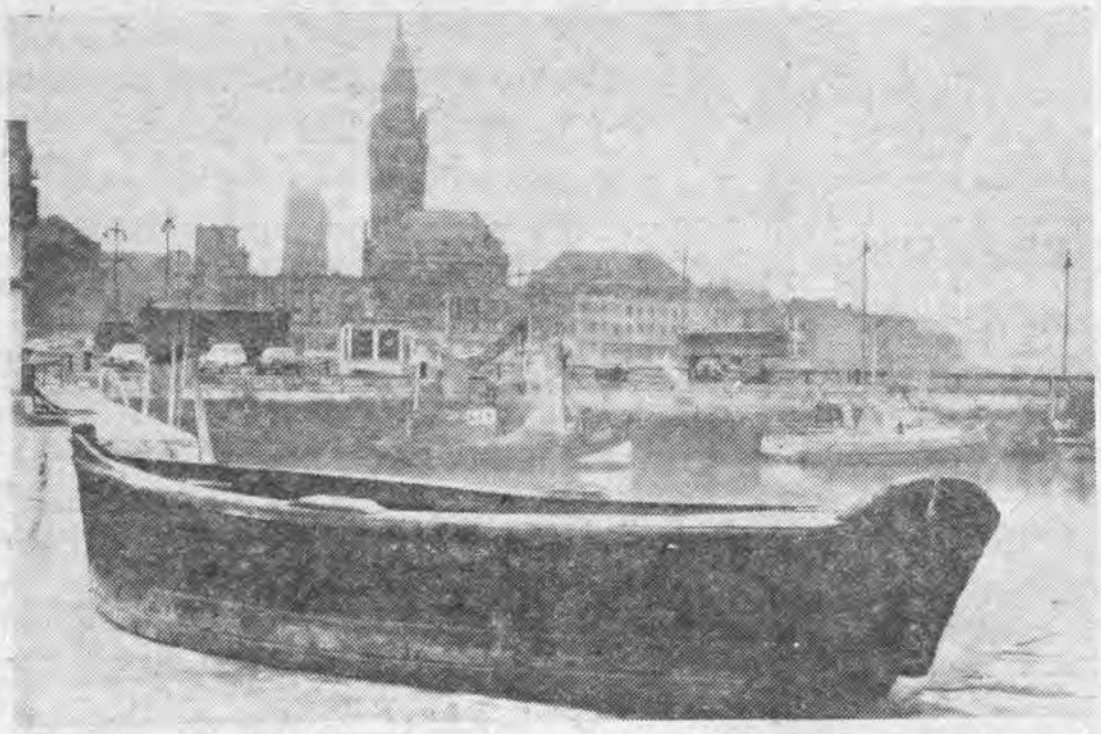

Dunkierka. *(zdjęcie autora)*

KSIĄŻKI

Karol Marks, Fryderyk Engels: DZIEŁA. Tom 17. KiW. s. 1024, cena 30 zł.

Tom przynosi prace powstałe między lipcem 1870 a lutym 1872 roku. Są one związane z wojną francusko-pruską, Komuną Paryską i Konferencją Londyńską Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników. M. in. noty o wojnie Engelsa, listy, oświadczenia. Przypisy ilustracje.

II ZJAZD KOMUNISTYCZNEJ PARTII ROBOTNICZEJ POLSKI. (19 IX—2 X 1923). Protokoły obrad i uchwały. Przyg. do druku i wstępem opatrzyli: G. Iwański, H. Malinowski, F. Świetlikowa. KiW. s. 696, cena 80 zł.

Główne uchwały dotyczyły kwestii narodowej, rolnej i taktyki jednolitego frontu.

Barbara Tryfan: POZYCJA SPOŁECZNA KOBIETY WIEJSKIEJ. Studium badawcze na przykładzie rejonu płockiego. KiW. s. 352, cena 30 zł.

L. Grot, I. Pawłowski, M. Pirko: WIELKOPOLSKA W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ 1918—1919. Wojskowe i polityczne aspekty powstania wielkopolskiego. MON. s. 320, cena 17 zł.

Wojciech Giełżyński: DEMOKRACJA SOCJALISTYCZNA. Iskry. s. 100, cena 4 zł. W serii: „Wszechnica społeczno-polityczna ZMS".

Jerzy Kossak: SPÓR O WSPÓŁCZESNĄ KULTURĘ. KiW. s. 268, cena 20 zł.

Te szkice powstałe z opracowania wcześniej drukowanych artykułów podzielone są na trzy części: „Sztuka i współczesności", „W kręgu kultury masowej" oraz „Poszukiwania modelu kultury". Zainteresuje ta książka nie tylko pracowników i działaczy tego resortu.

MÓJ CHŁOPIEC, MOJA DZIEWCZYNA. Opr. i wybór A. Berkowicz. Iskry. s. 326, cena 17 z..

Tak, pozycja o miłości. Ale pisana przez samych młodych. Szczerze i otwarcie. Są to bowiem opracowane odpowiedzi na ankietę ogłoszoną przez tygodnik „Dookoła świata". Warto przeczytać, choćby ze względu na możliwość poznania mentalności młodego pokolenia. Przedstawiciele tego ostatniego znajdą cząstkę własnych przeżyć.

Anatol Kuźniecow: BABI JAR. Przeł. Z. Korczak-Zawadzka. PIW. s. 338, cena 25 zł.

Urodzony w Kijowie radziecki pisarz prezentuje powieść — dokument. Jest to autentyczna relacja chłopca, który mówi o okupacji Kijowa i zbrodniach hitlerowskich w Babim Jarze, gdzie w obozie zagłady zginęły dziesiątki tysięcy osób różnej narodowości. Zaczyna się tak: „Wszystko w tej książce jest prawdą"

August Jawicz: ŻYCIE I CZYNY RODIONA ANIKIEJEWA. Tłum. Z. Korczak-Zawadzka. KiW. s. 584, cena 35 zł.

Pisarz radziecki starszego pokolenia. Tę zawierającą elementy autobiograficzne i obserwacje z własnych przeżyć powieść, której akcja toczy się w latach 1914—1917, zestawiają z Don Kichotem Cerwantesa lub z „Kubusiem fatalistą" Diderota. Ironia i refleksja. Ukazanie życia Rosji w latach tuż przed Rewolucją.

Zygmunt Kaczkowski: ANUNCJATA. Wyd. Literackie. T. I/II. Powieść historyczna z czasów Konfederacji Barskiej. s. 320 + 312. Cena całości 45 zł.

Sensacyjna akcja, ciekawe tło obyczajowe to atuty powieści, której autor związany jest z naszym województwem miejscem urodzenia.

Jerzy Jurandot: OPERACJA „SODOMA", CZYLI DZIEWIĄTY SPRAWIEDLIWY Iskry. s. 220, cena 25 zł.

Przed kilku laty na scenach Warszawy dużym powodzeniem cieszyła się sztuka tego pisarza pt. „Dziewiąty sprawiedliwy". Dziś w „Bibliotece Stańczyka" otrzymujemy nie dramatopis tej świetnej komedii, ale na jej tle napisaną powieść. Akcja oparta na biblijnym podaniu o Sodomie z dużymi reminiscencjami do współczesności.

David B. Ericson i Goesta Wollin: GŁĘBINY MÓRZ A PRZESZŁOŚĆ ZIEMI. Tłum. H. Sylwestrzak i E. Woźny. PWN. s. 424, cena 42 zł.

Budowa kuli ziemskiej, powstawanie oceanów i kontynentów, przyczyny zlodowaceń, warunki, w jakich ze świata zwierząt wyodrębnił się człowiek. „Biblioteka Problemów".

Charles Gallenkamp: MAJOWIE. Przeł. J. Maliszewska - Kowalska. PWN. s. 292, cena 33 zł. „Biblioteka Problemów".

Dzieje i życie codzienne Majów w okresie prekolumbijskim.

OD ZERA BEZWZGLĘDNEGO DO NIESKOŃCZONOŚCI. Nauka o temperaturach. Praca zbiorowa. PWN. „Omega". s. 240, cena 20 zł.

Tadeusz Tomaszewski: PROBLEMY I KIERUNKI WSPÓŁCZESNEJ PSYCHOLOGII. PWN. „Omega". s. 178, cena 10 zł.

POLEMIKI • DYSKUSJE • KORESPONDENCJE

nych gustów i przyczynia się do rozwoju literatury). Tragicznie jednak jest, kiedy następuje zanik wzajemnych kontaktów. Powodem najczęstszym jest niezrozumiałość niektórych utworów. O niej zbytecznie drobiazgowo pisze w numerze 5 „Widnokręgu" Gerard Wójcik. Ton jego wypowiedzi jest trochę alarmujący. Dużo tych wierszy niezrozumiałych w naszej produkcji literackiej nie ma. Polityka kulturalna naszego państwa, która też daje dyrektywy wydawcom, redaktorom — stara się nie dopuszczać takich nieudaczności. Jakkolwiek jest, nie występuje niezrozumiałość w utworach poetyckich „Widnokręgu". Ale ani jednego z nich nie poddał obróbce analitycznej autor „O odpowiedzialności społecznej i moralnej". Za to jako dowód na niezrozumiałość napisał kilka uszczypliwych uwag na temat chyba wyimaginowanego przez siebie młodzieńczego erotyku (kto go napisał?). Autor wypowiedzi postuluje, żeby nie rozszerzać dyskusji na „przedmiot poezji, jej możliwość, kierunki rozwoju, ponieważ są to sprawy nie interesujące szerokie rzesze czytelników. Czy to jest filozoficzna trudność dla „śmiertelnika", żeby nie wiedział, iż to, o czym poeci piszą jest ważne? Na pewno nie jest on taki naiwny. Przedmiotem poezji powinien być człowiek i jego wartości. Groźnym jej wrogiem jest dehumanizacja. Popularność danego twórcy zależy od treści utworów. Dlaczego np. takim uznaniem cieszyły i cieszą się wiersze Władysława Broniewskiego czy Gałczyńskiego? Bo ich treść jest przeniknięta realiami polskimi, życiem narodu. Pierwszy z nich zawarł w swej poezji romantykę rewolucji i budownictwa ludowego w Polsce, drugi pisał o „świetle powszedniości". W związku z tym można też mówić o perspektywach rozwoju poezji w naszej ojczyźnie. Musi być ona zaangażowana w życie narodu, musi brać odpowiedzialność za los państwa i całej ludzkości. Wtedy będzie żywotna i popularna.

Pora wysunąć kilka nowych postulatów, usprawiedliwić swoje wystąpienia i jeszcze ustosunkować się do innych spraw w dyskusji. Mimo że poeci rzeszowscy nie są tak wszechstronni, błyskotliwi i sławni, jak np. krakowscy, to jednak nie ma powodu do rozpaczy, ponieważ cechuje ich wielka ambicja. Może dałoby się utworzyć jakąś grupę poetycką o skrystalizowanych poglądach artystycznych. Nazwa „Gwoźnica" chyba do czegoś zobowiązuje. Julian Przyboś na pewno by pomógł. Oczywiście, że nikt nie powinien się wstydzić naśladować tego weterana awangardy krakowskiej, który jest zawsze młody, bo w iście młodzieńczy sposób stale poszukuje nowych form wyrazu. Dyskusja o poezji jest potrzebna. Taka, która prowadzi do pożytecznego rozładowania. Ów cel mi przyświecał, kiedy zacząłem pisać swe uwagi.

Trzeba popularyzować poezję na łamach „Widnokręgu" i odpowiednio kształtować wrażliwość estetyczną odbiorców, organizować konkursy poetyckie, turnieje i dni poezji, dopuszczać do głosu rozumnych czytelników (znających się na wierszach). Wskazane też by było czasem przeprowadzać interpretacje ideowo-artystyczne odpowiednich utworów na łamach „Widnokręgu", by było jak najmniej odbiorców-profanów, a poezja spełniała się, to znaczy powoływała innych do stanu wynalazców, o czym marzy Julian Przyboś.

KAZIMIERZ OBŁÓJ

Mrowla, 6 II 1969 r.

Czy odziedziczone fatum?

W artykule pod tytułem „Odziedziczone fatum", drukowanym w „Widnokręgu" nr 6 z 9 lutego 1969 r., podana została między innymi następująca informacja: „Wydział Oświaty i Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łańcucie wystąpił z pomysłem, aby chałupę (Jana Raka w Husowie — przyp. mój. J. M.) przenieść w okolicę bażantarni łańcuckiej i włączyć w kompleks obiektów należących do Muzeum Zamkowego".

Przede wszystkim Wydział Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łańcucie wyraża pogląd, że do projektowanego Muzeum Skansenowskiego w Łańcucie można przenieść jakąś typową chałupę wiejską oczywiście zabytkową, czy inny zabytek budownictwa ludowego, ale nie chałupę, która konkretnie wiąże się z życiem i twórczością poety chłopskiego tej miary co Jan Rak i z miejscowością, w której powstała — Husowem, jej historią i krajobrazem.

Jest inny projekt, chyba najwłaściwszy: Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łańcucie zamierza wykupić chałupę Raka łącznie z częścią placu, na którym stoi, od prywatnych właścicieli i urządzić w niej izbę pamiątek po poecie — na miejscu w Husowie.

Niezbędne prace remontowo-konserwatorskie przeprowadzi Wojewódzki Konserwator Zabytków w Rzeszowie.

Dotychczasowi właściciele chałupy, Ferencowie, przystąpią do budowy nowego domu na innym miejscu.

Prace nad realizacją tego projektu są już w toku.

JAN MICAŁ

Pisze do was babcia

Czytając „Widnokrąg" z dnia 19 I bieżącego roku przeczytałam artykuł „Babcia". Jestem głęboko przejęta artykułem. Wszedł ktoś w prawdziwe położenie dzisiejszej Babci. Babcie są niezastąpione w rodzinie, oddają całe życie dla dobra dzieci i wnuków, pracują ostatkami sił — mało się zdarza, by były zrozumiane. Recytuje — „Babcie są pożyteczne póki starcza im sił do pracy, później niech martwią się inni" (Polski Komitet Pomocy Społecznej). Za ten artykuł składam serdeczne dzięki — myślę, że wiele kobiet czytając artykuł myślało to co i ja.

Z tego miejsca proszę, by redakcja miała na uwadze tych ludzi, którzy całe życie poświęcili dla Polski, dla społeczeństwa, przeżywając gehennę wojenną, wychowywali swoje dzieci w ciężkich warunkach w czasie okupacji niemieckiej.

Dziś cieszymy się, że nasza młodzież ma dobre warunki do kształcenia się — w naszym województwie powstają uczelnie średnie i wyższe — aby tylko młodzież potrafiła ocenić i korzystać z tego.

Życzę Wam dalszych dobrych sukcesów w pracy dziennikarskiej.

Proszę darować mi styl i pismo. Mam lat 73, jestem rencistką.

JADWIGA DĄBROWSKA
Kolbuszowa

Kartki dla Ewy

WF

W jednej ze szkół podstawowych urządzono „klasówkę" z gimnastyki. Pani sprawdzała stanie na głowie, gwiazdę i skok z przerzutką. Blady strach padł na uczennice, kiedy posypały się dwóje. Apelacji od nich nie było. Gimnastyka jest równie ważnym przedmiotem jak wszystkie inne i trzeba się do niej solidnie przykładać.

Kiedy chodziłam do szkoły, drżano przed algebrą i fizyką, wkuwano prawidła polskiej gramatyki i łacińskie deklinacje. Nauczyciele egzekwowali od nas wiedzę z całą surowością, ale gimnastyka była chwilą wytchnienia. Nie było dwój z pływania i gry w piłkę, nikt nie urządzał sprawdzianów z machania kończynami. Wszelkie ćwiczenia fizyczne słusznie uznano za relaks. Zainteresowanym donoszę, iż nie działo się to pół wieku temu, lecz znacznie później.

Dzisiaj młodociany humanista lub matematyk prócz troski o zeszyty i książki musi dbać w szczególny sposób o tężyznę fizyczną. Szpagat, stójka ważne tak jak dziesiętne ułamki. Czasem można nie znać się na procentach, ale giętki kręgosłup każdemu się przyda.

Nauczycielka owej szkoły nie jest w swoich praktykach wyjątkiem. Inni, niestety, też rozumują podobnie. Celujący uczniowie okrągły rok miewają kiepskie stopnie z gimnastyki, trafiają się poprawki. Smutne to, gdyż oceny przeważnie dotyczą dzieci z wadami wzroku, postawy lub po prostu słabszych fizycznie. Premiuje się natomiast klasowych osiłków i szybkobiegaczy za wrodzone dyspozycje fizyczne. Jest to niesprawiedliwość w stosunku do innych, a w sumie duży błąd pedagogiczny. Po kilku latach takiej pedagogizacji najbardziej potulny uczeń znienawidzi nauczyciela i sport w ogóle. W przyszłości zamiast na boisko pójdzie do knajpy, gdyż tu nie będzie czuł się fajtłapą. Tej ostatniej perspektywy nikt jednak nie bierze w rachubę.

Najwięcej pretensji ze strony dzieci i rodziców słyszy się pod adresem młodych nauczycieli WF, absolwentów wyższych szkół wychowania fizycznego. Owi „specjaliści", niby w pełni przygotowani do prowadzenia zajęć sportowych, całkowicie zapominają o walorach wychowawczo-rekreacyjnych przedmiotu. Stawiają na zawodowców od pieluszek.

„Specjaliści" zapominają o tym, że lekcje WF są także dla uczniów słabszych fizycznie. Mają służyć podnoszeniu sprawności i zachęcić do sportu amatorskiego, a nie olimpijskich laurów.

Wiemy doskonale, że ludzie wysportowani to ludzie zdrowi. Sport milionom przyniósł zadowolenie, ale nikt nie doszedł do wybranej dyscypliny przez dwóje w szkole. Można pływać, jeździć na nartach, grać w tenisa i siatkówkę bez tytanicznych bicepsów i sokolego wzroku. Można być sportowcem wszechstronnym, ale nie zawodnikiem. Ćwiczenia ruchowe podnoszą tężyznę fizyczną. Powinniśmy o to dbać wedle swoich możliwości już od dzieciństwa. Największego łamagę stać nawet na sukces przy odpowiedniej zachęcie i opiece. Nie musi być to od razu chodzenie na rękach, czasem wystarczy skakanka.

Niektórzy jednak o tym zapominają, wolą stanie na głowie. Widocznie świat z tej pozycji im się podoba, skoro zalecają ją innym.

BEGA

JÓZEF PACYKOWSKI — kierownik Miejskiej Biblioteki Publicznej w Przemyślu.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Działalność i plany rzeszowskich przewodników

W sali Muzeum Okręgowego odbyło się ostatnio zebranie sprawozdawcze koła przewodników przy Oddziale PTTK w Rzeszowie. Dokonano na nim m. in. oceny działalności za rok ubiegły. Jak wynika ze złożonego sprawozdania rzeszowskie koło przewodników skupia 120 członków, z których 60 proc. działa czynnie. W tej liczbie 9 osób posiada uprawnienia oprowadzania z używaniem języków obcych. W roku 1968 rzeszowscy przewodnicy oprowadzili około 700 wycieczek, w tym 467 na zlecenie Biura Obsługi Ruchu Turystycznego a resztę w czynie społecznym na zapotrzebowanie własnych zakładów pracy.

Plan pracy na rok bieżący przewiduje m. in. zwiększenie obsługi wycieczek i dalsze prowadzenie szkolenia. Z okazji 20-lecia działalności przewodnickiej koła w kwietniu zostanie zorganizowana sesja popularnonaukowa, poświęcona tej tematyce. W związku z obchodami 25-lecia PRL rzeszowscy przewodnicy spotkają się z członkami Prez. MRN w celu zapoznania się z planami rozwoju Rzeszowa. Zaproszą do siebie także pierwszych organizatorów władzy ludowej na terenie województwa. W roku jubileuszu 25-lecia PRL oprowadzą bezpłatnie 100 wycieczek szkolnych i wygłoszą w kołach PTTK i zakładach pracy 30 odczytów. (stański)

ZDARZENIA TYGODNIA

W ubiegłą środę, tj. 12 bm., w Dębicy odbyła się narada pracowników placówek i aktywu kulturalno-oświatowego, poświęcona omówieniu zadań, wynikających z uchwały V Zjazdu partii. Temat ten omówił kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN Władysław Czajewski, natomiast sekretarz KP PZPR Antoni Dopart, przedstawił zadania stojące przed placówkami w związku z kampanią wyborczą do Sejmu i rad narodowych.

W województwie rzeszowskim przebywa zespół Opery Objazdowej z Warszawy. W dniach od 10 do 15 lutego odbyły się po dwa spektakle „Sprzedanej narzeczonej" B. Smetany, „Eugeniusza Oniegina" P. Czajkowskiego i „Strasznego dworu" St. Moniuszki. W dniach od 17 do 22 bm. Opera Objazdowa będzie gościć w Przemyślu.

W dniu 13 bm. spotkał się z bywalcami Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie wybitny polski znawca folkloru prof. dr Roman Reinfuss, który mówił o kulturze ludowej Bieszczadów. Warto zaznaczyć, że był to już drugi pobyt prof. Reinfussa w KMPiK. Tematem poprzedniego spotkania była kultura ludowa Beskidu Niskiego.

W ubiegłą środę zakończył się cykl koncertów popularno-rozrywkowych, zorganizowanych przez Państwową Filharmonię im. A. Malawskiego w Rzeszowie. Wzięli w nich udział: orkiestra pod dyrekcją T. Chachaja oraz piosenkarze Stenia Kozłowska i Tadeusz Woźniakowski. Koncerty odbyły się w Turaszówce i Krośnie, Łańcucie (Liceum Medyczne), Jarosławiu i Rzeszowie (Technikum Mechaniczno-Elektryczne).

W KMPiK odbył się wieczór wspomnień, zatytułowany „O aktorach wielkich, małych i niezapomnianych". Była to relacja aktora Teatru im. W. Siemaszkowej — Jana Adamskiego i wspomnienia z osobistych kontaktów z takimi artystami, jak Gerard Philippe, L. Jouvet, J. Kurnakowicz i inni. Opowiadania spotkały się z zainteresowaniem i życzliwym przyjęciem licznie zgromadzonych sympatyków teatru.

Na naszym ekranie

Dwadzieścia lat temu, dokładnie 6 lutego 1949 roku, w kilku ocalałych kinach Warszawy odbyła się premiera „Skarbu" — pierwszej powojennej rodzimej komedii filmowej. „Skarb" odniósł olbrzymi i zasłużony sukces, choć przecież kręcony był w warunkach amatorskich. No, jeżeli tak dobrze wystartowaliśmy — mówiło się wtedy — to cóż dopiero będzie później, gdy rozbudujemy kinematografię?

Nadzieje optymistów na polską „szkołę komedii" nie spełniły się. Chudziutko było u nas później z tym gatunkiem sztuki filmowej, choć czasem trafiały się rodzynki. Trudno też postawić dziś różowy horoskop na przyszłość (brak dobrych scenariuszy), nawet po obejrzeniu niezłej komedii jaką jest „Człowiek z M-3" w reżyserii pracującego w filmie jeszcze od czasów przedwojennych Leona Jeannota. Zwłaszcza, że nie tak dawno oglądaliśmy dwie polskie komedie „Paryż—Warszawa bez wizy" i „Poradnik matrymonialny", którym nie udało się zmusić widzów do śmiechu.

Bogumiłowi Kobieli, czyli doktorowi Piechockiemu, głównemu bohaterowi „Człowieka z M-3" z pewnością to się uda. Przypomnienie zaś o „Skarbie" nie tyle się wiąże z jubileuszem, co z treścią obu filmów. Podobny bowiem kłopot co Jerzy Duszyński w „Skarbie" ma teraz Kobiela, zaszyfrowany pod kryptonimem „M-3", a M-3 to nie kryptonim szpiegowski, lecz typ mieszkania.

Tomasz Piechocki bardzo tego mieszkania potrzebuje. Jest młodym, nieźle zarabiającym lekarzem. Pracuje w szpitalu, lecz... mieszka u mamy w domu. Mieszka o niebo lepiej niż jego poprzednicy ze „Skarbu" (jeden sypiał nawet w szafie), w wygodnym mieszkaniu, które ma tylko jeden feler — troskliwą mamusię (z przedwojennych sfer z koneksjami), traktującą swą dorosłą pociechę jak przedszkolaka. „Tomciu, wypiłeś mleczko? — Nie zapomnij włożyć sweter"! I tak w kółko od lat!

Nic więc dziwnego, że musiał przyjść dzień, kiedy nawet taki ciamajda jak wychuchany przez mamusię Tomeczek vel doktor Piechocki zbuntuje się na dobre. Postanawia się usamodzielnić i uwolnić spod uciążliwej kuratelli kochającej mamuni (dobra kreacja Igi Mayr). Aby tego dokonać, musi postarać się szybko o własne mieszkanie. W Warszawie... i szybko?!

Pan Piechocki ma jednak wyjątkowe szczęście. (Już raz Kobiela miał swoje „Żezowate szczęście"). W jednej z warszawskich spółdzielni mieszkaniowych są „luzy" i mimo wątpliwej pomocy mamy, która oczywiście nie chce, by Tomek się bez niej zmarnował, doktor Piechocki usłyszał brzęk kluczy do wymarzonego własnego kąta. Niestety, były to klucze do mieszkania M-3, a takie kawalerowi nie przysługuje. Nie ten metraż! Kawalerki? Owszem, będą — może za rok, może za dwa...

Tak długo doktor Piechocki nie zamierza czekać. Jest tylko jedno wyjście. Wprawdzie nie najlepsze, ale jest. Małżeństwo — czyli mieszkanie rozwojowe. (Mama omal nie zemdlała!). I to małżeństwo błyskawiczne — w ciągu miesiąca. Po tym terminie spółdzielnia musi przekazać mieszkanie komu innemu.

Od tego momentu film nabiera dodatkowego tempa, a niezastąpiony Kobiela, dla którego napisany został zresztą scenariusz „Człowieka z M-3", może w pełni pokazać co potrafi. A potrafi bardzo wiele. On, zahukany, fajtłapowaty doktorek, doprowadza do tego, że piękne dziewczęta wręcz ubiegają się o jego rękę. Co się dzieje? Oszołomiony sukcesami przygląda się z powątpiewaniem w lustrze: żaden z niego amant. Więc co u diabła? (Nic, nic, doktorku, one też pragną własnego mieszkania).

Miesiąc trwa krótko. Doktor Piechocki czuje wprawdzie nóż na gardle, biega z jednej randki na drugą, nawiązuje flirty, ale wybór, mimo że w pełnym asortymencie, wcale nie jest łatwy. Z czterech kandydatek, wszystkie są śliczne... lecz małżeństwo, to trochę dłuższa znajomość. Można nieźle wpaść! A urocze kandydatki, to panie z charakterkiem. I to jakim! Jedna jest apodyktyczna, druga zazdrosna, trzecia ekstrawagancka. Dla czwartej nawet zapuścił wąsy, które tak bardzo przypominały jej nieboszczyka — męża...

Biedny Kobiela miota się po ekranie wspierany radami kolegów i mamy, która nie chce „stracić" jedynaka. W tym matrymonialnym bałaganie już nie bardzo pamięta, kogo na co w szpitalu leczy. Przyjdzie chyba zwariować! A to wszystko przez mamę. To przez nią stał się tak późno prawdziwym mężczyzną. Z jego powodzeniem! Z jego prosperity! Co robić? Z którą się ożenić? Której wręczyć klucze do wspólnego M-3?

Na to pytanie odpowie reżyser Jeannot dopiero w ostatnich scenach swej komedii. Przedtem prezentuje na ekranie pięć pięknych dziewcząt: Maję Wodecką, Barbarę Modelską, Ewę Szykulską, Alicję Wyszyńską i Wandę Naczaj. A ponieważ film jest barwny — każda z pań występuje we własnej kolorowej tonacji. Taki pomysł reżyserski bardzo się męskiej widowni przyda, gdyż jednorazowa inwazja tak ładnych dziewcząt, to dawka wręcz uderzeniowa, jak na film polski i łatwo mogłyby się nam wszystkie poplątać. Są więc te dziewczęta: „Czerwona", „żółta", „błękitna" itp. W kolorach tych ujawnia się także ich specyficzny typ urody i atmosfera, którą wokół siebie roztaczają.

A główny bohater — Kobiela? Nie ma łatwego zadania. Gra rolę bądź co bądź poważnego lekarza. Występuje w komedii realistycznej, w której nie ma spiętrzenia gagów, nie ma miejsca na klaunowski grymas. A mimo to szaleje i nie żałuje charakterystycznej dla niego vis comica".

To właśnie ze względu na niego należy się koniecznie wybrać na aktorski koncert napisany „na Kobielę z towarzyszeniem pięciu pań". Jego też zasługą jest, że miejscami przyciężki klimat filmu staje się bardziej żywy i komediowo frywolny. A ponieważ na komedii „Człowiek z M-3" nie sposób się nudzić, to znaczy, że spełnia ona swe zadanie i że nie jest zła.

ADAM ZARZYCKI